



81. 1
Cena egzempl. 50 gr.

Pren. miesięcz. z przes. 2 zł.

Urzednicy państwowi 25% zniżki.
Ogłoszenia $\frac{1}{1}$ str. 400 zł.
„ $\frac{1}{2}$ „ 200 „
„ $\frac{1}{4}$ „ 100 „

Ogłoszenia w tekście 50% droższe

wiersz mm. przy ukł. 3 łam. 40 g.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
POZNAŃ, UL. PIEKARY 20-21
TELEFON 22-46

Konto P. K. O. Poznań 213.934

ROK I.

POZNAŃ, DNIA 26 LIPCA 1931

NR. 14

Bezdroża ruchu ludowego

Nie ulega wątpliwości, że w państwie, którego obywatele w dwóch trzecich co najmniej swej liczby, żyją z roli i na roli, stanowiąc bezwzględną większość w narodzie, ludność wiejska, rolnicza, czyli, jak się zwykło mówić — lud, ma prawo mieć na losy państwa wpływ. Jaki mu przypada z racji samego faktu, że dzięki liczbie jest narodem i państwa podstawą. Rzeczpospolita Polska słusznie może się nazywać ludową i może się tak nazywać z dumą. Lud polski ma wartości wewnętrzne tego rodzaju, że można się nimi szczycić. Lud to z natury inteligentny — stwierdzają to zgodnie obcy, którzy się z nim zetknęli, niebawale pracowity — stwierdzają to również zgodnie cudzoziemcy, głęboko religijny, a więc posiadający ten moralny kręgosłup, który człowiekowi daje siłę przetrwania największych nawet przeciwności losu, entuzjastycznie kochający swoją ziemię i język ojców — wszak dzięki temu naród zdołał przetrwać półtorawiekową niewolę.

Na takim fundamencie można budować. Na tym fundamencie też budowano. W chwili odrodzenia się państwowości polskiej na lud zwrócili się oczy inteligencji polskiej i innych warstw narodu.

Okazało się wkrótce, że mimo wszelkie walory, lud polski był do roli gospodarza we własnym państwie nieprzygotowany.

Zaznaczyło się to odrazu w pierwszym sejmie, w którym żywioł włościański stanowił przeważającą większość, przejawiało się już w tem, że lud wszedł do sejmu rozbity na grupy i grupki, że mimo usiłowań, podejmowanych w ciągu szeregu lat, nie zdołał się skonsolidować, oraz w tem, że zamiast iść własną drogą, dyktowaną choćby zwykłym chłopskim rozumem, zaczął się błąkać i w tem błąkaniu się, w tem szukaniu poomacku drogi, która przed nim stała się prosta i jasna, zeszedł na manowce.

Była chwila, która, zdawało się, wskaże ruchowi ludowemu zagubioną drogę. Była to chwila, kiedy wszystkie stronnictwa za zgodą, a po części pod wpływem ówczesnego naczelnika państwa, powołały na stanowisko

szefa rządu najwybitniejszego przedstawiciela ludu, — włościanina z krwi i kości, Wincentego Witosa. Stało się to w okresie największego dla państwa niebezpieczeństwa. Lud poszedł za wezwaniem swojego syna i brata, który stał na czele rządu, szeregi wojskowe wypełniły się, wojna została wygrana. Co więcej — za rządu Witosa uchwalona została konstytucja, rozegrała się i zdecydowała sprawa Górnego Śląska. Nie minęło jednak trzy miesiące od zawarcia pokoju i uchwalenia konstytucji, a rząd ten został obalony. Obalenia dokonali socjaliści, którzy się ruchowi ludowemu narzucili na opiekuna i same stronnictwa ludowe. Okazało się jasno, że ruch ludowy w Polsce nie idzie własnymi drogami, nie jest czynnikiem politycznie dojrzałym, nie dorósł do zadań, jakie mu historia przyniosła w darze.

Przyczyn tego zjawiska jest kilka. Nie są one tego rodzaju, by na daleką przyszłość przekreślać miały rolę ludu w państwie. Przeciwnie. Charakter tych przyczyn wskazuje, że dotychczasowe formy oddziaływania ludu na bieg spraw państwowych były wynikiem nie tyle wrodzonych braków, ile raczej nieszczęsnego zbiegu okoliczności.

W Polsce przedrozbiorowej lud nie był narodem. Był inwentarzem warstwy, która się za naród uważała i narodem była. W okresie niewoli lud zaznaczał swoje istnienie tem, że rękami i zębami trzymał się ziemi, wiary i języka ojców. Wytężona praca inteligencji, prowadzona z coraz większym napięciem, zwłaszcza w ciągu ostatniego ćwierćwiecza przed wojną światową, budziła masę ludową, aby się stała narodem. Pracę tę uwieńczył piękny wynik. Lud istotnie poczuł się narodem. — Bieg wypadków sprawił, że zaledwie to poczucie zaczęło się ugruntowywać w masie, lud został powołany do pracy państwowej we własnym państwie. Tradycji tej

W dzisiejszym numerze zamieszczamy artykuł

S. I. Witkiewicza

p. t. „O intuicji I — Intuicja a logika“

pracy nie posiadał. Kulturalnie nie stał tak wysoko, żeby wiedzą i nauką zastąpić tradycję. Do sejmu konstytucyjnego wszedł więc bez tradycji i bez przygotowania. Wszedł jednak ze świadomością, czym jest własna państwowość, z gorącym umiłowaniem państwa, ze świadomością swego w państwie znaczenia, może nawet z przesadnym w tej mierze wyobrażeniem o swych prawach.

Wszedł — jak wspomnieliśmy rozbity. Instynktowne wyczucie, że powinien stanowić jedną polityczną organizację, poparte świadomą inicjatywą jedyne politycznie wyrobionego klubu Piastowców, sprawiło, że od razu po zebraniu się sejmu konstytucyjnego podjęto zabiegi, aby ruch ludowy zjednoczyć. Dążenie do zjednoczenia, dyktowane instynktem, rozumem, troską o dobro państwa i ludu, napotkało jednak na takie przeszkody, że, jak wykazały późniejsze wypadki, stało się nieszczęściem dla samego ruchu ludowego.

Wspomnieliśmy, że jedynym stronnictwem politycznie dojrzałym byli Piastowcy. Dzięki szczęśliwym warunkom, w jakich żył zabór austriacki, piastowcy mieli za sobą ćwierćwiekową blisko pracę polityczną, a więc i polityczne wyrobienie. Inne stronnictwa ludowe w ścisłym tego słowa znaczeniu organizacjami politycznymi nie były. Stworzone zostały przeważnie w ostatnich miesiącach wojny światowej, a nawet na parę tygodni przed wyborami. Były to doraźnie wytworzone grupy, skupiające się przy pewnych osobistościach względnie uboczny produkt pewnych organizacji o zgoła niepolitycznym charakterze. Takim było „Zjednoczenie”, — stworzone przez ks. Blizińskiego i p. Skulskiego, którzy skupili znaczny odłam ludności wiejskiej w Kongresówce i przeprowadzili pokaźny zastęp posłów. Druga grupa, „Wyzwolenia”, powstała z tajnej organizacji wojskowej, tworzonej podczas wojny światowej. Po rozpisanu wyborów, działacze tej tajnej organizacji wysunęli na posłów siebie, lub najbardziej sobie oddanych włościan, ściślej z tą organizacją związanych, i weszli do sejmu również w pokaźnej liczbie. P. Wyrzykowski, razem ze śp. Dąbskim, szli pod flagą małopolskiego Piasta i pod hasłem jedności ludu przeprowadzili również kilku posłów. W zaborze pruskim, taksamo jak na kresach wschodnich, wyborów nie było.

W poglądach politycznych ujawniły się bardzo szybko zasadnicze różnice między Piastem i Wyzwoleniem. Na czele piastowców stał Witos, już wytrawny polityk, oparty o spory zastęp inteligencji, w pracy parlamentarnej doświadczony. Na czele Wyzwolenia stali ludzie, o życiu politycznym nie mający pojęcia, przeważnie młodzi, a co ważniejsze, wychowani w tajnych i nietajnych organizacjach socjalistycznych, przejęci zasadami Marksa, pracą, osobistymi węzłami i ideowymi sympatjami związani z partią socjalistyczną. Politycznej dojrzałości Piastowców przeciwstawili przywódcy Wyzwolenia młodzieńczą butę, wyrobieniu polityków — doktrynerstwo, poglądom umiarkowanego włościanstwa — skrajny, socjalizmem zaprawny, radykalizm, z jego wszystkimi atrybutami, a więc nienawiścią „do panów”, „do księży”, nawet do inteligencji. Porozumienie między temi dwiema grupami było więc trudne. Udało się w pewnej chwili skłajać zlanie się obu klubów w jeden, ale ta jedność trwała bardzo krótko. Nie mogło być inaczej. Ogień z wodą się nie pogodzi.

„Zjednoczenie” ks. Blizińskiego i Skulskiego złączyło się z Piastem, grupa Wyrzykowskiego i Dąbskiego szła z nim razem od początku, część posłów z Wyzwo-

lenia po czasowym zjednoczeniu pozostała w Piaście. Ostatecznie stan wytworzył się taki, że najsilniejszym klubem w sejmie byli Piastowcy, przeciw którym stało Wyzwolenie, wcale jeszcze liczne, grupa p. Stapińskiego i grupa ks. Okonia. Między zawiązkiem jednolitego stronnictwa ludowego, którym to zawiązkiem był niewątpliwie Piast, a wspomnianymi grupami, wywiązała się walka, której następstwem było coraz większe załamywanie się charakteru Piasta i coraz silniej dające się odczuwać schodzenie na manowce politycznego ruchu ludowego wogóle.

Walkę, toczoną na terenie parlamentu, siłą rzeczy przeniesiono na wieś. Ta walka wywołała wzajemną licytację w obietnicach i hasłach. Cały ruch ludowy zaczął iść coraz bardziej na lewo, a więc wbrew istotnemu charakterowi ruchu ludowego, bo wbrew psychice włościanstwa. W ślad za licytowaniem się w hasłach poszło wzajemne zohydowanie się, obsypywanie się gradem oszczerstw i potwarzy. Ruch ludowy, cieszący się długo sympatją inteligencji i innych stanów, tak się sam w tej walce, której sekundowali i socjaliści i narodowi demokraci, zohydził, że wreszcie inteligencja, mieszczaństwo, wogóle inne warstwy znienawidziły stronnictwa ludowe, znienawidziły sam lud.

Przyczynił się do tego w niemałej mierze fakt, że stronnictwa ludowe, brnąc coraz dalej w radykalizm, stały się w sejmie konstytucyjnym poniekąd narzędziem w ręku socjalistów, umożliwiającem im przeprowadzenie w nowo budującym się państwie programu socjalistycznego. Skutki takiego ukształtowania się stosunków były najmniej przez lud polski pożądane i oczekiwane: państwo nasze zostało urządzone tak, jakby Polska była państwem nie rolniczym, ale przemysłowym, nie ludowym, ale robotniczym, jakby naród polski był na wskroś socjalistycznym. Tylko dzięki zejściu polityki ludowej na manowce, mamy w Polsce niesłychane ustawodawstwo, dotyczące ochrony pracy, opieki społecznej, najbardziej krańcowe przepisy co do ilości godzin pracy i ilości pracowników przy obsłudze maszyn. Ustawy te stanowią jedną z głównych przyczyn załamania się naszego życia gospodarczego. To życie nie mogło się rozwijać normalnie w więzach marksizmu, w jakie je wtłoczono. Następstwem oparcia fundamentów państwowości na zasadach marksowskich była dalsza budowa państwowego gmachu, a więc ustawy, naruszające zasadę prywatnej własności, czy to chodzi o ziemię — reforma rolna, sama w sobie dyktowana rozumem i troską o dobro państwa, czy o domy — ustawa o ochronie lokatorów, główna przyczyna dzisiejszego głodu mieszkaniowego w Polsce, czy ustawy podatkowe z niebywałą progresją, co wszystko zmierzało do ostatecznego marksowskiego ideału: uniemożliwienia jednostkom bogacenia się, by jaknajprędzej mogło się urzeczywistnić w Polsce państwo socjalistyczne.

Inteligencja, ludność miejska, świat kupiecki i przemysłowy zdawał sobie sprawę, do czego ta osobliwa współpraca przedstawicieli ludu z marksistami prowadzi. Ta część narodu, która przyszłość Polski na ludzie budowała, widząc te bezdroża, odwróciła się zupełnie od ludu.

Dzieje stronnictw ludowych w następnych sejmach — to powtarzanie się tego, co było w pierwszym, spotęgowane objawem nowym, mianowicie wzajemnem rozbijaniem klubów ludowych. Skutek spotęgowanego rozbicia, oraz ujawniających się coraz wyraziściej w ży-

ciu gospodarczem następstw współpracy ludowców z socjalistami, był jedną z najważniejszych przyczyn klęski, jaką poniosły przy ostatnich wyborach stronnictwa ludowe i socjaliści, którzy szli do tych wyborów wspólnie z ludowcami.

W ostatnich czasach, w następstwie poniesionej przy wyborach katastrofalnej klęski, stronnictwa ludowe połączyły się w jedno. Prawdopodobnie ci, co tę jedność skłajstrowali, są przekonani, że osiągnięto nareszcie cel, do którego bezskutecznie dążono już w pierwszym sejmie, że w ruchu ludowym zaczęła się temsamem nowa era.

Czy tak jest w istocie?

Jest jeden klub ludowy, to prawda. Jest teraz jedno stronnictwo ludowe, to prawda. Ale — ruch ludowy się zgubił.

Klub parlamentarny zjednoczonego stronnictwa ludowego, wszystkie jego władze naczelne — to dawni ludzie, ci sami, co się jeszcze przed rokiem wzajemnie publicznie zniesławiali, to dawni ludzie, o z gruntu odmiennych poglądach na najistotniejsze zagadnienia, — tkwiący po dziś dzień w starych narowach. Udają innych, ale w głębi duszy są tacy sami, jak byli. Nie zmienili się. Nie mieli nato czasu, ani chęci. Sklecieli się, ale nie mają wspólnego ducha, ni języka. Rozdzielają ich

wciąż mury przeszłości.

Działaczy politycznych łączy trwale i ściśle idea wspólna i realny program pracy. Wśród ludzi tak rozmaitego duchowego pokroju nie może być mowy o wspólnej idei. Nawet na programie pracy codziennej ujawniać się między nimi muszą zasadnicze różnice. Klasycznym wyrazem bezideowości jest naczelny organ zjednoczonego stronnictwa „Zielony sztandar“, redagowany przez jednego z największych asów politycznych ludowych, p. Macieja Rataja. Konia z rzedem temu, kto na podstawie tego pisma potrafi się zorientować, jaka jest ideologia zjednoczonego stronnictwa ludowego.

Jedynym czynnikiem, który połączył i dziś łączy tę gromadę obcych sobie ludzi jest — nienawiść do sanacji i obecnych rządów. To nie starczy. Nienawiść i negacja — to nie są czynniki twórcze.

Ale faktem jest, że dół, że masa ludowa najszczerzej pragnie zjednoczenia. To objaw naprawdę pocieszający.

Dzisiejszy stan jest więc okresem przejściowym. Nie daleki już czas, że masa, że ten dół zdobędzie się na odruch stanowczy. To, co stare, przeżyte i winne — musi pójść precz. Przyjdą nowe siły, które ruch ludowy wyprowadzą z manowców na bity gościniec. Drogę, którą zagubiono, odnajdzie sam lud. Za dużo jest w nim żywych i twórczych wartości, by się mógł dalej błąkać.

TWARDE SŁOWA PRAWDY

List pisał Hołówiki w sprawie obniżki płac urzędniczych, który w streszczeniu podaliśmy w numerze 12 wywołał żywy oddźwięk nie tylko wśród urzędników, czego dowodem są odpowiedzi zamieszczone np. w organie Zw. Kolejarzy, ale również w kołach politycznych obozu prorządowego.

Nic dziwnego. Wywody p. Hołówiki były nader uproszczone. P. Hołówo domagał się, w imię patriotyzmu i konieczności państwowych, by urzędnicy przetrwali i wytrwali, podkreślając, że głównymi winowajcami obecnego stanu rzeczy są sami urzędnicy, oni bowiem są odpowiedzialni za przerost biurokracji.

Na ten zarzut odpowiedział już p. Rzymowski.

Obecnie należący do obozu prorządowego sen. W. Kamieniecki poruszając kwestję urzędniczą, stwierdza, że urzędnicy niewątpliwie pilnie nadśluchują, gdy im się dzwoni na wielkim dzwonie poświęcenia i ofiarności na rzecz państwa. Ale zapytuje natychmiast — czy to wyczerpuje sprawę? Czy ten apel rządu jest wszystkim w sprawie urzędniczej?

I odpowiada na to.

Oczywiście, że nie. Patriotyzm jest niezbędną podstawą państwa. Rzucamy go na szalę w chwilach krytycznego niebezpieczeństwa. Jednak na szary, powszedni dzień jest to język zbyt górny. Nie rozmieniamy na drobne kapitału patriotycznej ofiarności, bo przyjdzie chwila, kiedy on będzie potrzebny w całości.

Większość rządów polskich chętnie rozwiązywała trudności gospodarcze drogą ofiarności obywatelskiej. Natomiast na daleki plan usuwała się świadomość, że państwo jest przede wszystkim organizacją pracy, narzędziem, zapewniającym bezpieczeństwo i dobrobyt wszystkim obywatelom. Codziennym językiem, jakim państwo przemawia do obywateli, powinien być język praktycznej korzyści i praktycznego interesu. Interes państwa winien być tak ujęty, aby był zgodny z interesem każdego uczciwego obywatela. Gorzkie rozczarowania czekają tych, którzy w swych obliczeniach nie zechcą rachować się z prawdziwą naturą ludzką, z wrodzoną żywiołową potrzebą dobrobytu i osobistego szczęścia.

Toteż radykalne obniżenie płac nie jest zadawalniącym rozstrzygnięciem sprawy. Aby wymagać od urzędnika pełnej uczciwej pracy i bezwzględного oddania się obowiązkowi publicznemu, trzeba go dostatecznie wynagrodzić, zapewnić jemu i jego rodzinie spokojny i znośny byt. Służba państwowa nie może być ani niewolnictwem, ani wyłącznie ideowym ofiarnictwem ani filantropją.

Nie można bytu państwowego opierać na armji głodomorów i obdartusów urzędniczych, dokarmianych jedynie wielkimi hasłami patriotycznymi.

Twarde słowa prawdy sen. Kamienieckiego nie powinny przejść w zapomnienie.

Trafnie ująć i ułożyć stosunek państwa do obywateli jest bowiem rzeczą nienajłatwiejszej wagi niż stosunek obywateli do państwa.

Z cyklu „Kościoły Poznańskie“



Kościół Bożego Ciała

Fot. J. Dobrostański

Z TYGODNIA

„GOSPODARUJ PANIE BOŻE, BO MAGISTRAT JUŻ NIE MOŻE“...

Już ty o mnie zapomniałeś, Cyryleńku mój; już nie kochasz, jak kochałeś!...

Ta arja powinna była się wyrwać z drżącej piersi Halki, gdy w pamiętnym dniu pogrzebowej stypy opery poznańskiej głowa przy głowie, półgłówek przy półgłówku, serce przy sercu chwytalo konające akordy rzeźwnej kantatki nieśmiertelnego Moniuszki arcydzieła.

Już ty o mnie zapomniałeś...

Pan Cyryl, Prezydent Ratajski, popuścił słuzom w oczach, poszedł do umywalki i ręce symbolicznie polewając wyrzekł: — zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, iżem nie winien Teatrowi Wielkiemu śmierci. Dobry, czuły, bezradny Piłat Magistracki. Zawyło pospólstwo: Zlikwiduj go, zlikwiduj go! I co powiecie, żalobni słuchacze, Rada Miejska dorzuciła operę, którą z takim düsseldorfskim sadyzmem od premjery do premjery rzucała poznańska krytyka teatralna. — Nie wiem ile w tem wszystkim jest polityki, ale mówi się, że operę ubiła N. Dcja, N.(oskowski) — D(robnik). Ja temu nie wierzę, boć i sanacja wbijała tej placówce do trumny gwóźdź... sezonu. — Słowem plałta z naszą operą. — Tak zbankrutować toby się i Łuczak wstydził a Magistrat gwizdza sobie na wszystko i na zarządcę masy upadłościowej wyznaczył p. wiceprezydenta Kiedacza. — Po tym akcie sądzę, że łatwiej będzie... Kiedaczowi przejść przez ucho igielne, aniżeli do królestwa niebieskiego... Moniuszko załóż uroczysty protest, na pewno. Zatem nieboszcze w ubiegłą sobotę kulturalny Poznań oddał ostatnią posługę. Obecni przy konającej byli wszyscy recenzenci. P. Bojar modliła się do Przemieniecka Pańskiego o odwołanie dopustu, pani Fedyczkowska zmówiła modlitwę za konających, p. Drabik ucieka do Belgradu (Drabiczku nasz, a leć a piej!), gdzie zbierać będzie grad oklasków. Pozostali artyści śpiewać będą „Troskę“ o dalszą swoją przyszłość niepewną. Dyrektor Wojciechowski z rozpaczy poszedł do „Paxa“ robaka sobie zalać, intonując „Requiescat in Paxie“. — Recenzenci, jak to zwykle przy pogrzebach bywa, po cichu między sobą omawiali nieboszczkę według znanej zasady: O umarłych nic, albo dobrze... obgadywać. Recenzent „Dziennika Poznańskiego“ stanął w obronie pamięci zmarłej, powiadając, że utrzymanie opery jest ambicją miasta. Herr-Nitschek z „Orędownika“ proponował Wiechowiczowi pójść na zakończenie uroczystości operowych pod Wiechę; recenzent „Nowego Kurjera“ propozycję tę odrzucił, tłumacząc się, że po operze tej ma już wielki kassern-jammer.

Nowowiejski w rozpaczy podarł partyturę niedokończoną nowej opery pt. „Legenda Batycka“, a Kamiński wogóle bezstronny, zauważył nie bez uczucia wewnętrznej satysfakcji, że wraz z zamknięciem podwoi opery, raz na zawsze Kiepusza ma do Poznania wstęp wzbroniony. Każdy więc na swój sposób oceniał sobotnią wyprzedaz posezonową opery poznańskiej. — Bo n. p. taki Dr. Suzyński głośno nie tał swego zado-

wolenia z wytworzonego stanu rzeczy; żywo omawiając z inż. Namysłem projekt przyszłych koncertów symfonicznych pod wiele obiecującą firmą: orkiestra Namysłowskiego.

Takie szły ciche rodaków rozmowy wczas, ułoża konającej Halki. Teatr Polski odmiastowiono, z Teatru Wielkiego zrobiono drugi stadion. Mała wszak różnica, tu i tam ruiny. Zatem już w gruzach leżą poznańskich teatrów posady. Okropne rzeczy, Straszny Dwór.

A co Rada Miejska? Co na to nasze głowy do złotych? Nic! Niech zdycha, co nam po operze. Tak Magistrat budżet kraje, jak mu pieniędzy nie staje. Politykę trzeba normować podług gospodarczej maksy: Według stawu grobla. — Z operą tylko kłopot. Kultura muzyczna? Bujda! Zresztą ta dziedzina życia intelektualnego zaspokojona może być przez Adrję. Pierwszorzędnym podobno kabaret. — Per aspera ad... Adrja! My somy i nie śmimy być żadnymi papudrokami. Kto mówi, że zamknięcie opery poruta? Że się muzyka w Poznaniu skończyła? Śmiej się, pajacu. — A Moulin Rouge to co? A Carlton? a „Atlantyk“ a „Jazz-Palais“.

Co tłum? Tłum wyszedł po spektaklu w wielkim przygnębieniu, komentując: „Prawdę mówił Maciej stary są tu divy (w kabarecie za to parkietówki) są tu czarzy... w tym Poznaniu. I wszystkim się zdawało, że opera gra jeszcze a to echo grało...

...nasza jest noc i oprócz... (laveant consules ne quid publika...) (patrz słownik Arcta) ja pisać dalej nie mogę; z rąk mi pióro wypada, bo słyszę, że ktoś dał w pysk polskiej kulturze.

CZY WIECIE JUŻ...

... że wśród dziwnych okoliczności odbyło się zamknięcie opery w Poznaniu. Kilkunastu tajnych agentów policyjnych uświetniło swą obecnością ostatnie przedstawienie w Teatrze Wielkim. Po przedstawieniu kazano aktorom w przeciągu 30-stu minut opuścić teatr. Słowem strzeżono operę przed zamachem śpiewaków operowych.

... że podobno ma Poznań zaszczyć swym przyjazdem p. Czapelski, który wraz z zespołem aktorów lwowskich przez kilka miesięcy sezonu zimowego zapełni pustkę Teatru Wielkiego. Czyżby dlatego magistrat zerwał tak prędko pertrakcje z aktorami tutejszymi, którzy byli zresztą skłonni pójść na jaknajdalsze ustępstwa tak co do płac jak i co do długości sezonu. A orkiestrę zostawiono nie dla koncertów symfonicznych, lecz dla p. Czapelskiego.

... że zastępcą dyrektora jednej z poważnych instytucji finansowych w Poznaniu jest Moskal, prawosławny, który dopiero w ubiegłym roku złożył egzamin dojrzałości, uzupełniając tak późno luki w swych kwalifikacjach.

S. I. WITKIEWICZ

O intuicji I

Intuicja a logika

Zabierając się do rozważań krytycznych na temat literatury i krytyki, trzeba przede wszystkim rozprawić się z modnym dziś w pewnych sferach konfliktem intuicji i intelektu, który będąc według mnie tylko konfliktem pozornym, pozwala mimo całą swoją nieistotność, pewnym ludziom, niezdolnym do umysłowego wysiłku, wywyższać się ponad rzeczywistych „pracowników umysłowych” na podstawie fikcyjnych wartości, a do tego jeszcze omamiać naszą łatwowierną i zdeorientowaną publiczność. Bowiem przeciętna publiczność nasza, a może i nie nasza tylko, ma cechy nieinteligentnej kobiety, której formy autorytetu imponują więcej, niż autorytet prawdziwy, oparty na wiedzy i słusznym rozumowaniu.

Zwolennicy intuicji, a przeciwnicy intelektu, postępujący się ciągle intelektem, szczególnie w celu udowodnienia słuszności ich teorii (n. p. Henryk Bergson) mówią tak, jakby istniały poza stosunkiem czynnym do rzeczywistości dwa tylko sposoby odniesienia się do niej poznawczego: a) intuicyjny, twórczy, istotny, wymagający jakiejś władzy specjalnej, intuicji właśnie, która jest w ich rozumieniu równoznaczna z objawieniem, spadającym na danego, wyjątkowo tego godnego, osobnika z jakichś innych światów i b) logiczno-pojęciowy, który nie nowego stworzyć nie może, bo pojęcia nasze są ograniczone i nieruchome i niezdolne do przedstawienia „płynnej rzeczywistości”, a logika jest dyscypliną normatywną i nie dotąd nie stworzyła od wieków, prócz reguł bezsprzecznego myślenia, nawet logika najnowsza, czyli t. zw. logistyka. Z tem ostatniem twierdzeniem możnaby się ostatecznie zgodzić, o ile się weźmie pod uwagę wyniki filozoficzne myślicieli, pracujących twórczo na terenie logistyki i to tak wybitnych jej przedstawicieli, jak Bertrand Russell w książce „Analyse of mind”, lub Leo Chwistek w swej „Wielości Rzeczywistości”, której krytykę podałem w moich „Szkicach Estetycznych”.

W związku z zagadnieniem, które mnie tu zajmuje, chodziłoby o zdanie sobie sprawy na czem polega myślenie i jaki jest stosunek między myśleniem twórczym, a logiką. Nie będę tu wchodził szczegółowo w moją teorię pojęć — zaznaczę tylko, że według mnie wszystkie procesy psychologiczne, a więc wszelkie uczucia, nawet najbardziej subtelne i zawiłe, jakoteż przebiegi myślowe, dadzą się w ostateczności sprowadzić do następstw jakości (elementów wrażeniowych, t. zn. barw, dźwięków, zapachów, dotyków, czuć muskularnych, czuć organów wewnętrznych i ich **Wspomnień**) w naszych trwaniach samych dla siebie. Pojęcie nie jest według mnie czemś pierwotnem, jak dla Husserla n. p. Nie pojęcie ma znaczenie, ale znak. Pojęcie pojęcia implikuje pojęcia: znaku i znaczenia; to ostatnie zaś rozdziela się na pojęcia: a) odpowiednika pojęcia, którym w wypadkach pojęć abstrakcyjnych może być jedynie definicja i b) „kompleksu znaczeniowego prywatnego”, który jest sumą wszystkich wspomnień i asocjacji, nabytych przy uczeniu się znaczenia danego pojęcia i który może być bardzo różny u różnych osobników, nie przekraczając jednakże pewnych granic różności. Nikt nie uświadamia sobie całego takiego kompleksu odrazu: pewne części jego symbolizują całość, ukrytą w „tle zmieszanem” świadomości

(unbemerktter Hintergrund Corneliusa). Takim symbolem, jako takim będącym w świadomości na tle zmieszanem, może być w szybkim myśleniu, mówieniu i rozumieniu sam znak pojęciowy. Logika dostarcza nam tylko prymitywnych form stosunków między pojęciami, tkwiących w samej istocie pojęć wogóle. O ile zrobimy abstrakcję od psychologii i pozostaniemy w samym poglądzie logicznym, to możemy powiedzieć, że wszystkie zasady logiczne, np. zasada tożsamości, sprzeczności i wykluczonego środka, są aksjomatami, przez które pośrednio zdefiniowane jest pojęcie pojęcia w obrębie samego poglądu logicznego (podobnie pośrednio zdefiniowane są pojęcia geometrii przez aksjomaty w teorii Hilberta. Zasady te nie potrzebują potwierdzenia w doświadczeniu i nie w nim i nie w psychologii mają swe źródło, jak tego chcą psychologowie i empiryści: one stosują się tylko do stosunków pojęć: powstają automatycznie z chwilą postawienia czy wprowadzenia pojęcia „pojęcie”. Kiedy powstanie pojęcie t. j. znak o pewnym znaczeniu, cała logika jest już niejako w samej istocie pojęcia zawarta. O ile jednak nie wyprowadzimy pojęcia wogóle w sposób psychologiczny, skazani jesteśmy na kręcenie się w kółko, gdyż sąd musimy uznać za kombinację pojęć, a nie za coś pierwotnego, jak tego chcą niektórzy. Sądy odpowiadają nie przed-

Z cyklu „Kościoły Poznańskie”



Katedra

Fot. J. Dobrostański

miotom w najogólniejszym znaczeniu*) jak pojęcia, tylko danym „stanem rzeczy“, zjawiskom aktualnym i to zaczynając od sfery rzeczywistości (w znaczeniu życiowym), a kończąc na zupełnie od życia oderwanej n. p. na matematyce, z tem zastrzeżeniem, że w stosunku do tej ostatniej pojęcie aktualności zamienione zostanie pojęciem wieczności, pozaczasowości, podobnie jak w sferze Prawdy Absolutnej, dotyczącej Istnienia Rzeczywistego, t. j. w filozofii. Pojęcia wieczności i pozaczasowości oznaczają tu w przenośni konieczność przyjęcia danego pojęcia lub twierdzenia dla każdego osobnika, stojącego dostatecznie wysoko w hierarchji Istnień Poszczególnych, czyli osobowych indywiduów**), operujących po-

*) Co do pojęcia przedmiotu, to uważam, że jednak lepiej byłoby ograniczyć je tylko do przedmiotów fizycznych, t. j. wyznaczonych jakościami dotykowymi, lub ich możliwościami.

**) Zaznaczam „osobowych“, ponieważ B. Russell używa pojęcia indywiduum w znaczeniu rozszerzonym, nieomal równoznacznym z pojęciem przedmiotu.

jęciami, czyli znakami, posiadającymi znaczenia.

Nikt rozsądny nie może wymagać od logiki, nauki formalnej i normatywnej, aby była twórczą sama przez się. Ale z samą logiką utożsamiają najśrodsi wyznawcy intuicjonizmu wszelką, tak przez nich pogardzaną twórczość intelektualną. Inni, mniej srodcy, uznający tę prawdę, że intelekt to nie tylko sama czysta logika, mają jednak doń pretensję, że podaje nam rzeczywistość pod postacią pojęć, a nie bezpośrednio taką jaką ona jest. Otóż ani praca czysto nawet intelektualna nie polega na bezmyślnym recytowaniu samych, lub wypełnionych stale tem samem nadzieniem na tle paru założeń zasadniczych, formuł logicznych, ani też zadaniem intelektu nie jest zupełnie adekwatne przedstawienie rzeczywistości, co jest wogóle na żaden sposób niemożliwe, chyba że będziemy mówić o wizji rzeczywistości, zasugerowanej przez użycie środków artystycznych, dla spotęgowania przedstawionej treści. Ale i wtedy nawet dalecy będziemy od adekwatności przedstawienia.

Wylawiacze „talentów“ i fabrykanci „aniołków“ teatralnych

W żadnej innej dziedzinie tyle się nie grzeszy, co w dziedzinie teatru. Bowiem teatr nie stracił do dnia dzisiejszego swej siły magnetycznej i nadal rozciąga swój tajemniczy urok. To też większość młodzieży marzy o laurach Węgrzyna czy Modzelewskiej; i właśnie te marzenia wykorzystują na swój sposób wylawiacze talentów i fabrykanci aniołków teatralnych.

Cóż to za ludzie zapyta czytelnik. Otóż wylawiaczem talentów, bywa najczęściej dyrektor teatru nie lubiący przeznaczać większych sum w budżecie na personel artystyczny. Angażuje więc kilku tylko aktorów, którzy tworzą szkielet zespołu, a resztę dobiera sobie z ulicy. Przeważnie panienki, którym się wmawia, iż są tak zdolne, że już po kilku miesiącach pracy w danym teatrze mogą być przynajmniej... Ludwiżanką.

Jeżeli któraś rozsądniejsza nadmieni słów kilka o przygotowaniu fachowem zgorszony wylawiacz odpowiada: „poco nudne szkolenie, kiedy talent z pani aż bucha — już ja panią na gwiazdę wy kieruję“.

A efekt? Taka bidula porzuca posadę, często narzeczonego, ubiera się pretensjonalnie, wysiaduje po parnaście godzin dziennie u Dobskiego i mówi możliwie najgłośniej: „no bo my artyści...“ W rezultacie aktorką nigdy nie będzie — była potrzebna dyrektorowi „osoba“ do kompletu w danej sztuce — więc ją namówił i płaci 2 złote od wieczoru a i to do czasu tylko.

Drugi rodzaj spekulacji na naiwności ludzkiej, to masowa fabrykacja „aniołków“ teatralnych. Przy każdym prawie teatrze znajduje się natchniony pedagog (często kobieta!) który czuje w sobie powołanie do szkolenia młodego pokolenia aktorskiego. Powołanie takie nie jest niczem innym jak tylko najzwyklejszą chęcią zysku. Dowodem tego, że do ad hoc zorganizowanej szkoły czy na drodze lekcje prywatne przyjmuje się ułomnych, niedorozwiniętych, zezowatych z przyrodzonymi wadami wymowy i „kształci“ się ich, odbierając w ten sposób społeczeństwu często wartościowe jednostki, które w każdej innej dziedzinie mogłyby się stać pożytecznymi i zawiesza je między ziemią a niebem.

Bo czyż taka ofiara, która przez dwa lub trzy lata od ust sobie odejmowała ciulając ciężko niekiedy zapracowany grosz i zanosila go „profesorom“ czy „dyrektorowej“ — czyż ona zechce wrócić do innej pracy przy maszynie czy ladzie. Przenigdy! Będzie to chodźło smętne po mieście i miało urazę do wszystkich, że się na jej talencie nie poznali. Sam znam takie biedne stworzenia. Wzbudzają litość — ale też i denerwują swoim „Theater-schmerzem“.

Jeżeli taką szkołę aktorską prowadzi stary bezrobotny a zasłużony aktor, to można to jeszcze jakoś wyrozumieć: chce żyć. Chociaż ja jestem zatem, by mu w jakiś inny sposób dopomóc. Ale, jeżeli to robią aktorzy na dobrze płatnych stanowiskach, nota bene nie mający żadnych danych do uczenia, jeszcze sami obarczeni wadami wymowy itp. — lub nawet sami dyrektorzy czy dyrektorowe teatrów — i to nieraz dobrze prosperujących teatrów — to już naprawdę skandal.

Znam ludzi, którzy z czwartego roku studiów uniwersyteckich i dobrze płatnych posad poszli za głosem takich nieuczciwych pedagogów wpadając w nędzę i dziś prowadzą pożalowania godne życie — często z żoną i dziećmi. —

Czas te praktyki ukrócić, by nie zawracano głowy ludziom pracującym uczciwie w swoim fachu i by nie obierano łatwowiernych z pieniędzy pod pretekstem przygotowania do „karjery artystycznej“.

Ponieważ i w Poznaniu nie brak tego rodzaju „pedagogów“ skromny ten artykuł niechaj będzie przestroga dla przyszłych kandydatów na „sławy“.

Roxi.

Kalia
PERFUM MYDŁO WODA KOLONSKA
T. & S. Stempniewicz, Poznań

były, są i będą
najwięcej używane
w Polsce.

SYLWETKI

Adam Hannytkiewicz

Jednym z czołowych malarzy „Plastyki“, grupy artystów wielkopolskich, jest Adam Hannytkiewicz, kierownik „Prywatnego Instytutu Sztuk Pięknych“ w Poznaniu. Gorący wielbiciel Cézanne'a, twórcy całego nowoczesnego kierunku malarskiego, a uczeń Pankiewicza, po tych dwóch wielkich mistrzach odziedziczył zamiłowanie do jasnego układu kompozycyjnego swych obrazów, zamiłowanie do harmonijnie, starannie dobranych plam barwnych. Hannytkiewicz wystawia wraz z innymi członkami „Plastyki“ w Poznaniu i innych miastach Polski, a bierze także udział we wszystkich wystawach reprezentacyjnych sztuki polskiej, urządzanych kolejno w stolicach europejskich z ramienia zarządu przez Tow. Szerzenia Sztuki Polskiej wśród Obcych.

Adam Hannytkiewicz maluje portrety, pejzaże, obrazy historyczne, niewątpliwie jednak talent jego najlepiej wyraża się w martwych naturach. Jest to moment wielce charakterystyczny dla współczesnej epoki, dlatego martwym naturom Hannytkiewicza poświęcimy szczególną uwagę.

Na wartość obrazu wpływa przede wszystkim forma jego, a więc sposób wykonania. O jakości obrazu decyduje rysunek kompozycja i koloryt. Nie wszyscy jednak to rozumieją. Zwłaszcza artystycznie mało wykształcone jednostki poszukują w obrazie zajmującego tematu, ciekawej anegdoty, pomijając przytem zupełnie istotne wartości sztuki, zapominając, że temat obrazu uzyskuje swoje znaczenie dopiero poprzez formę. Temu niezrozumieniu istotnych zadań sztuki przez ogół, wydali artyści gorącą walkę, zwrócili się

nie odegrała ona tak ważnej roli jak w dzisiejszym rozwoju malarstwie, nigdy nie wysuwała się na czoło zagadnień. Dotychczas była zawsze jednym z tematów ubocznych, teraz należy do najważniejszych problemów artystycznych. Bo też i z innego zupełnie punktu widzenia przystępuje dziś do martwej natury artysta. W wiekach minionych, a już szczególnie w malarstwie holenderskim, szło głównie o wierne odtworzenie malowniczego motywu. Wybierano więc najwspanialsze owoce i kwiaty, układano na stole barwnie upieczone ptaki i starano się naśladować jak najwierniej połysk i lśnienie barwy, miękkość, soczystość czy puszystość danego przedmiotu. Jednym słowem, dążono do iluzji rzeczywistości. Dziś bynajmniej nie idzie tylko o skopjowanie wzoru. Martwa natura, a obiera się kilka przedmiotów nader prostych i niewyszukanych, ma być jedynie motywem dla rozwijania autonomicznych, przez artystę zgóry powziętych koncepcji formalnych.

Podobnie jak przy malowaniu sceny figuralnej zestawia się postaci w grupę, zważając, aby kompozycja była dobrze zrównoważona, tak i zestawiając na płótnie całość kilku przedmiotów, kładzie się silny nacisk na ich układ. I tutaj zważać trzeba na odtworzenie głębi. Przedmioty, ułożone na stole, zezwalają choćby na ciekawe skróty perspektywiczne; można je malować, stojąc zdaleka i z boku, można je malować, patrząc na nie zgóry. Ważnym zagadnieniem jest odpowiednie wrysowanie martwej natury w ramy, a więc malowanie jej tak, aby na płótnie nie było przedmiotów za wiele, co dawałoby wrażenie ciasnoty, aby znów nie było ich za



Adam
Hannytkiewicz

„Martwa natura“

do tematów jak najprostszych, aby wykazać, że choć temat prosty, można stworzyć arcydzieło. W żadnym też okresie rozwojowym sztuki martwa natura — kilka owoców, kwiaty, filiżanka, talerzyk, zabawka, książka lub butelka na stole — nie odegrała tak ważnej roli, jak obecnie. Artyści pokazali, ile zagadnień łączy się z takim na pozór prostym i nic nie mówiącym tematem, udowodnili, że ten temat można oddać, zależnie od utalentowania, ciekawie albo nudno, poprawnie lub też błędnie.

Martwa natura nie jest tematem nowym, była znana naprzykład już w malarstwie rzymskim, a szczególną sławę zjednała sobie w siedemnastym wieku, w malarstwie holenderskim. Nigdy jednak

mało, co spowodowałoby luki i puste miejsca, wywołując nudę. Należy też przedmioty tak rozmieścić, aby wzajemnie siebie nie zasłaniały, a przytem różnorakie ich kształty ze sobą harmonizowały i kontury ich tworzyły rytmiczną grę linii. Dołączając się do tego ważne zagadnienia kolorystyczne; nie idzie jednak o iluzjonizm barw, przedmioty malowane mają być raczej motywem na podstawie którego artysta rozwija harmonię barwną.

Twórczość Adama Hannytkiewicza idzie po linii właśnie tych wszystkich nowoczesnych tendencji w sztuce, osiągnął on jednak rezultaty zupełnie indywidualne. Szczególnie piękny jest świetlisty, miękki koloryt jego prac.

Dr. Irena Piotrowska.

MARJA — KRÓLOWA RUMUŃSKA

Biała babcia

Przełożył ks. Dr. M. Hellon

(NOWELA)

Copyright by „Od A do Z — Tygodnik“

III.

Gwałtowna wewnętrzna burza minęła! Jęki zranionej duszy ustały! Biała Babcia przyszła nieco do siebie i z wielkiem rozrzwinięciem mówiła do oniemiałego Wasyla:

„Miał niebieskie oczy, jak twoje. Był to mój jedynak! Ja, uboga matka! Nie starczyło mi na jego zabawki i przeróżne zachcianki. Popsuł się między ludźmi do cna! wyrastał na zbrodniarza. Onto dopuścił się morderstwa...”

Stary kruk zakrakał przeraźliwie, aż się Wasyl przeląkł.

„Kilka miesięcy ukrywałam go u siebie, w gąszczach lasu, gdzie mogłam... Żywiłam go pokryjomu aż do dnia, gdy go już nie zobaczyła. Znikł!” Tu przerwała babcia, westchnęła kilkakrotnie i mówiła dalej:

„Szukałam go i szukałam! Szukałam go tu i tam, lecz wszystko daremnie! Nie byłam wówczas jeszcze taka stara, ale ostatecznie zabrakło mi sił. Nie mogłam wytrzymać na tem miejscu, gdzie żyłam z moim synem i gdzie go już nie było: opuściłam tamtą strzechę i przeniosłam się aż tu...”

„Czy aby go nie przyłapał?” wtrącił zafrasowany Wasyl.

„Nie!” odrzekła staruszka, gdy wtem stary kruk przeciągnął leniwie zdrtwiałe skrzydło.

„Właśnie w owym czasie przyleciał tu ten kruk i pozostał u mnie, a zaraz po tem — pierwszy raz w życiu — przezwano mnie czarownicą, może dlatego, że unikałam ludzi i ani do cerkwi nie chodziłam. Bo też jak mogłam, ja nieszczęśliwa, wejść do świątyni?...”

„Mogłaś była pójść babciu, pomodlić się za syna”, zawyrokował poważnie Wasyl.

„Tak, to prawda, mogłam była pójść... ale wtedy straciłam wiarę w Boga!”...

„Ach!” zawołał z bólem serca sierota. „Ach!”

„Od owej chwili minęło lat dwadzieścia gdy pewnej nocy...” mówiła coraz ciszej babulka, tak że Wasyl przytulił się do niej i wytężył swój słuch, aby podchwycić każde słowo. Ona zaś jęła opowiadać:

„Pewnej nocy słyszę przy drzwiach niesamowity szmer... Noc była ciemna zimowa, a w mej chatce zimno i mroźno, aż skostniałam. Podnoszę się nieco, azali to sen? Nie! słyszę wyraźnie, bije dzwon, najwyraźniej dzwon! Ogarnął mnie strach, wybiegam, otwieram drzwi... spoglądam... Na dworze stoi mężczyzna wysokiego wzrostu, o ciemnej twarzy, milczący i tylko wichura miotła welonem zwiśającym z jego głowy... Przy nogach jego — o dziwo — coś czarnego, czarniejszego od nocy!”

„Serca ludzkie są z kamienia!” odezwał się grobowym głosem. Cały świat to lodowaty głaz. Matko!!! Zdołałam wtedy tylko wykrzyknąć: Tudor! Był to istotnie mój syn. Wprowadzam go do chaty, zawiera szybko drzwi ze strachu przed owym potworem. Panie Boże odpuść, już ani wspomnieć nie chce, com sobie pomyślała. Drżącą ręką rozbałam ogień, nie patrzac na niego... tak jakoś całkiem inaczej wyglądał mój syn! Od dwudziestu lat nie widziałam go. Usiąć nie chciałam...”

„Czy miał na sobie kajdany?” przerwał Wasyl.

„Nie, dziecko, tylko zapytał mnie: Mamo, czemu się odwracasz odemnie?”

„Podnoszę głowę i przypatruję mu się z bliska. Miał na sobie ciemną sukienkę mnicha długa po kostki, na głowie zaś (zwyczajem wschodnim) czarny welon. Twarz jego ponura, dzika twarz złoczyncy, obrośnięta zaniedbaną brodą. Pod welonem widziałam długie gęste nieczesane warkoczki.

„Na lewem ramieniu sukni wytarta, dziurawa; widać było głęboka ranę i sączącą się krew. Na ten widok wydałam rozpaczliwy okrzyk, bo mordercy mają zazwyczaj tylko ręce krwią poplamione. On mnie zrozumiał, uśmiechnął się szydlerczo, a wtedy oczy zabłysły mu jak ściganego odwłoka.

„Mamo, zostałam mnichem”, rzecze, „ale nie doznałam przebaczenia, zataiłem swój grzech. Nie mogę się przyznać do morderstwa! Nie mogę... nie chcę!”... i zacisnął pięści. Zrozumiałam, że w duszy jego ciemności.

„Mam okrwawione ramię, dodał, bo przyniosłem ci dzwon z dalekich, bardzo dalekich stron! Dźwigałem go dnie, tygodnie, miesiące... Ciężar jego nie większy od winy zbrodni mojej: oto, co mnie do krwi poraniło! Zawieszę ci go przed chatą, aby nikt weń nie dzwonił! On sam odezwie się w godzinie, kiedy mi Bóg przebaczy winę. Nagle, pochyliwszy się, ucałował me czoło i ręce — wargi jego zimne jak lód — usłyszałam otwarcie drzwi... skończyło się wszystko... i zostałam sama przy kominku... Nie pocieszyłam go ani jednym słowem... ani nie obmyłam mu krwawiącej rany...”

„Na dworze szalała śnieżna wichura, zatraceniów... ogarnął mnie lęk, nie ośmieliłam się nawet pojrzeć przed drzwi jaką też drogą poszedł...”

„Czy to był sen jaki, czy widmo? Nie! oto, tu za mną pozostały plamy jego krwi, całuję je na klęczkach po dziś dzień... A tam za drzwiami spostrzegłam coś leżącego.

„Nazajutrz patrzę, a tu dzwon zawieszony na tych konarach, jak go dziś widzisz. Nad ranem ustała wichura, ale wszędzie na śniegu widać było czerwone plamy...”

„Stało się to trzydzieści lat temu”, dodała niepokieszona staruszka. „Mam już lat ponad 90, czeka mnie mogiła, pragnę szczerze wiecznego odpoczynku, ale obawiam się umrzeć, zanim nie zadzwoni ten dzwon. Nie powinnam, nie chcę umierać, zanim nie usłyszę głosu jego...”

Już świtało, gdy Wasyl, oszołomiony zwierzeniami babci, pobiegł co tchu do zwykłej swej roboty. Nie, szeptał. Biała Babcia nie była czarownicą!

Nadeszła zima. — Dolina, malownicza latem, — zasypała śniegiem, mroźne północne wichry rozpanoszyły się na dobre. Życie wioski zamarło.

Była to zresztą bardzo uboga wieś i właśnie o tej porze nawiedziły ją przeróżne niemiłe wypadki. Żona nauczyciela zgubiła ślubny pierścionek, wśród dziatwy zapanowała odra, nawet drób, zarażony czemś, padał dziesiątkami dziennie. Wójt gminy rozpił się na dobre, a popadła, Safta, dostała pomieszania zmysłów; ale co najgorsza, kościelny dzwon pękł — niespodziewanie przez połowę tak, że jego ochrypli bezduszny głos odstręczał raczej ludzi od cerkwi.

Ludziska zbierali się, narzekali, radzili, a nazwisko Białej Babci nasuwało się wszystkim mimowolnie...

Nie pamiętam, kto pierwszy wpadł na pomysł, aby raz wreszcie należyście ukarać Białą Babcię za wszystkie nieszczęścia, jakie na ich wioskę spadły. Zresztą, byłiby jej darowali wszystko, ale... żeby gustami spowodować pęknięcie dzwonu cerkiewnego, to już za wiele, to przechodziło granicę wszelkiej cierpliwości chrześcijańskiej. Ostatecznie uchwalono po długiej naradzie wet za wet, zabrać babinie dzwon i zawiesić go na dzwonnicy cerkiewnej w miejsce pękniętego, zaczarowanego. Z delegowanych ani jeden nie stawiał się do dzieła! Jedni obawiali się diabelskiego kruk, inni przypomnieli sobie babiną iaszczurkę, o której wiedzieli, że w potrzebie urasta na krokodyla... Naiwieści obawiano się czarodziejskich sztuczek samej staruszki, która, mawiali, potrafi każdego zamienić w kamień, albo w zając, i td. albo cę oślepi, lub o utratę rozumu przyprowadzi. Najzuchwalszym mędralom zabrakło odwagi!

Zabłysła im nowa myśl! Wszyscy mężczyźni i młodzi mieli ruszyć ławą i — w nocy — zakraść się do babinej zagrody, aby, broń Boże, nie kraść, jeno wybawić dzwon i oddać go na użytek publiczny... Oczywiście, Biała Babcia nie wiedziała o niczem, a — dla pewności — nie wtajemniczano ani Wasyla w całą tą sprawę.

Oto, jak wykonano powzięty plan.

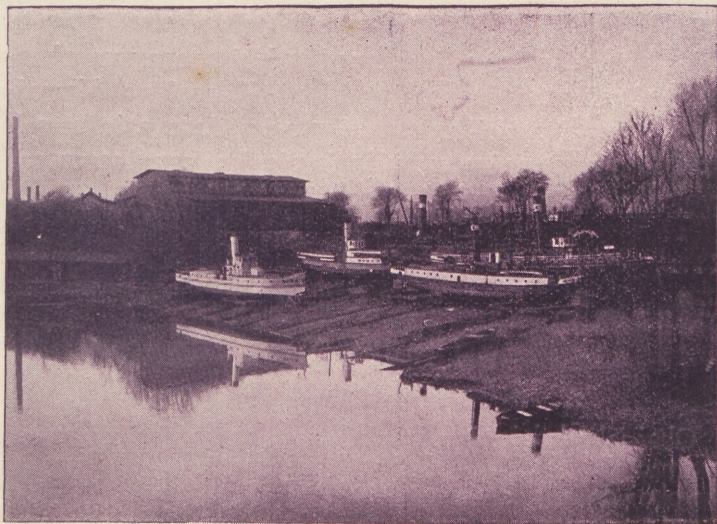
Noc była mroźna w przeddzień wigilii Bożego Narodzenia. Księżyc w pełni rozgościł się na niebie. Babulka, ledwo żywa, przywdziała wszystkie łachy, co miała, owinęła się obdartym kożuchem i już zamierzała wyjść do lasu, gdy nadbiegł Wasyl. Poszli razem. Staruszka, zwyczajem swoim, przysiadła w lesie i wpatrując się w każdą ścieżkę, tęskniła za kimś...

(Ciąg dalszy nastąpi)

LLOYD BYDGOSKI T. A.

Data powstania Lloyd Bydgoskiego przypada na rok 1883, kiedy na Brdzie, Noteci, Wiśle i kanałach holowano statki i tratwy jeszcze siłą ludzką i końmi. W roku tym zawiązała się spedycyjna Spółka Komandytowa pod nazwą „Bromberger Schleppschiffahrt (F. W. Bumke)“, która wyjednała sobie przywilej holowania szkut na odcinku wodnym od śluzy miejskiej po przez kanał notecki do Odry.

W 1891 r. zmieniła spółka swój ustrój prawny, zamieniając się w spółkę akcyjną, której kapitał zakładowy



Lloyd Bydgoski

Fragment stoczni

wynosił 1 milion marek. W tym samym roku przystąpiło miasto Bydgoszcz do spółki w charakterze akcjonariusza, a spółka nabyła nieco później pierwsze dwa holowniki łańcuchowe i jeden statek motorowy.

Rok ten uważać można za przełomowy w żegludze rzecznej na kanałach i na Brdzie. Idąc odtąd dalej po raz wytkniętej linii rozbudowania żeglugi, powiększał Lloyd Bydgoski stale swój tabor rzeczny, budując ponadto w Kapuściskach — Małych port przeładunkowy dla przeładowywania ładunków masowych, jak drzewo, węgiel, zboże, cukier i t. p. z wagonów kolejowych na statki rzeczne i naodwrot.

Dzięki mądrej polityce wszystkich tych, którzy od powstania Polski Niepodległej kierowali losami Lloyd Bydgoskiego, dochodzi prywatny ten port do znaczenia punktu węzłowego przy wywozie i dowozie artykułów masowych na wodnych drogach śródlądowych do Niemiec i z powrotem i daje wszelką rękojmię, że wzbudzi na nowo do życia bydgoski przemysł drzewny, który wobec trudnej sytuacji gospodarczej popadł w stan letargiczny.

Obniżywszy bowiem koszt wywozu drzewa obrabowanego w głąb Niemiec, oprze go o podstawy, umożliwiając mu wykerzystanie nie tylko koniunktur ale i sprawności technicznej istniejących już warsztatów pracy.

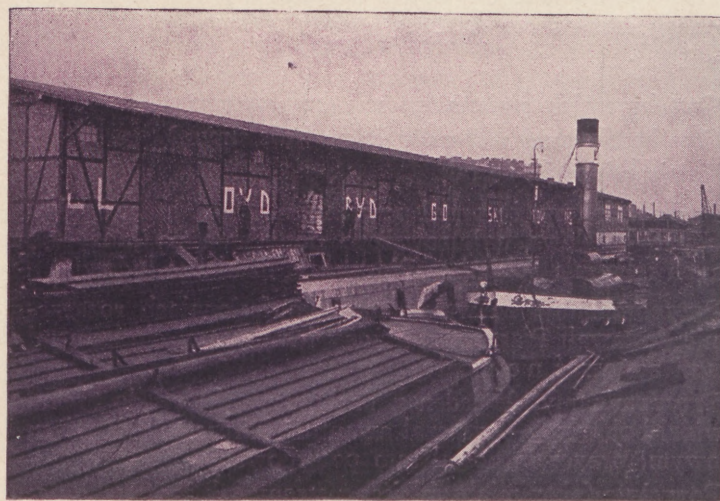
A pamiętać należy, że Bydgoszcz jest siedzibą wielkiej ilości tartaków i całego szeregu pokrewnych zakładów przetwórczych, jak fabryki mebli, fabryki płyt klejonych, fabryki parkietów i wszelkiego rodzaju wyrobów drzewnych. Ponadto wywalczył sobie port przeładunkowy już dziś pozycję monopolisty dla przewozu cukru do Niemiec, Gdańska i Gdyni.

W razie ratyfikowania traktatu handlowego z Niemcami, stanie się port w Kapuściskach-Małych portem centralnym dla przewozu wielkich ilości węgla do Niemiec. Leżąc przy ujściu do Wisły i mierząc bez mała dwa km. długości i kilkaset metrów szerokości, spełnia port wielką rolę wodnego szlaku tranzytowego ze Wschodu na Zachód i odwrotnie.

Z chwilą realizacji projektu kanału węglowego Śląsk — Bałtyk niezbędnego dla interesów gospodarczych Polski, stanie się również najważniejszym punktem węzłowym drogi wodnej z Południa ku Północy. Przez port Lloyd Bydgoskiego jest Bydgoszcz związana z polskim morzem i tylko dzięki niemu stała się w Odrodzonej Polsce z nakazu tradycji podstawą polskiego dostępu do morza.

Lloyd Bydgoski zajął również za czasów polskich w dziedzinie żeglugi towarowo-holowniczej naczelne stanowisko w naszym państwie, rozszerzając zakres działania żeglugi na Wisłę i stwarzając poza istniejącym już w Gdańsku oddziałem nowe filje w Warszawie i w Poznaniu, rozszerzając tym samym działalność swą również i na Wartę. Utrzymując na szlakach Warszawa — Gdańsk — Gdynia komunikację towarową, zarówno zwykłą jak i pośpieszną stał się Lloyd Bydgoski najpoważniejszą spółką żeglugową na ziemiach Polski zachodniej i środkowej.

Stale połączenie pomiędzy Gdańskiem a Warszawą, jakoteż Gdańskiem i Bydgoszczą umożliwiło mu obsługę przemysłu i rolnictwa, ciężących do kanału Brdy i Wisły. Linia pośpieszna Warszawa — Gdańsk, mająca połączenie również z Gdynią, otwartą została w roku ubiegłym. Linję tę obsługuje Spółka przez cztery transportowce oraz jedną barkę motorową najnowszego typu,



Lloyd Bydgoski

Spichrze

jedyną tego rodzaju na naszych rzekach. Ruch zwyczajny obsługuje Lloyd przez osiemnaście holowników, pochodzących w większej części z własnej stoczni w Kapuściskach-Małych.

Stocznia ta, uruchomiona pierwotnie dla remontu statków własnych i cudzych, przeszła za czasów polskich do budowy nowych parostatków, barek, motorówek, promów, pontonów i drag. W Kapuściskach-Małych posiada Spółka również i fabrykę maszyn, wyrabiającą dźwigi, wiazania fachowe, konstrukcje żelazne, zbiorniki,

oraz urządzenia dla gazowni, gorzelni, cukrowni i rzeźni. Poza wymienionymi placówkami posiada Lloyd Bydgoski w Sierniechowie jeszcze 6-gatowy tartak, przecierający drzewo na rachunek własny i obcy. Tartak ten posiada obszerne składnice wodne na Brdzie, własną bocznice kolejową, olbrzymi plac składowy obszaru przeszło 400 tys. m² i obszerne szopy dla magazynowania towaru.

Ponadto Lloyd Bydgoski jest właścicielem gorzelni i trzech większych folwarków położonych na obszarze Bydgoszczy.

Akcje Lloyd Bydgoskiego, którego kapitał zakładowy wynosi obecnie 2 miliony złotych znajdują się w rękach polskich. Największym akcjonariuszem jest miasto Bydgoszcz, posiadające wraz z fundacjami charytatywnymi, stojącymi pod jego zarządem około 50 proc. akcji. Reszta akcji znajduje się w rękach poważnych finansowych grup krajowych.

Lloyd Bydgoski dzieli zupełnie losy miasta Bydgoszczy, a to nie tylko z tego powodu, że założyło go miasto, ale co ważniejsze, że prowadzi wszystkie rodzaje

przemysłu związane z potrzebami miasta, stanowiąc do pewnego stopnia o jego rozwoju.

Swój dotychczasowy postęp zawdzięcza spółka w pierwszej linii ludziom związanym z historią miasta, jak prezydentowi Drowi Bernardowi Śliwińskiemu niezwykle zasłużonemu na niwie społecznej i pełniącemu swego czasu funkcje prezesa Rady Nadzorczej z górą od siedmiu lat, — wicekonsulowi szwedzkiemu i dyrektorowi Towarzystwa Akcyjnego „Karbid Wielkopolski” p. inż. Stanisławowi Rolbieskiemu, — prezesowi Aleksandrowi Lednickiemu z Warszawy, jak niemniej i poparciu Banku Gospodarstwa Krajowego, który w osobach swego prezesa generała Góreckiego i kierownika oddziału Bydgoskiego p. dyrektora Romańskiego okazuje jaknajdalej posuniętą życzliwość, szczególnie dla potrzeb żeglugi śródlądowej.

Nadmienić należy, że zarząd spółki spoczywa obecnie w rękach naczelnego dyrektora Marcelego Maryńskiego, który dowiódł w ostatnim roku, że z nałożonych na siebie obowiązków wywiązuje się ku zupełnemu zadowoleniu swoich akcjonariuszy jak i klientów.

Walka o dusze... duchowieństwa

„Piast Wielkopolski” zamieścił w nr. 167 artykuł, który w obszernym streszczeniu podajemy poniżej.

Ciekawa toczy się obecnie polemika (spór) między obozem stronnictwa narodowego a sanacyjnym.

Idzie o księży.

Wiadomo, że księża należą zarówno do obozu endeckiego jak i do sanacyjnego.

Chodzi o to, czy księża powinni zajmować się polityką, czy nie.

Endecy twierdzą w „Kurjerze Poznańskim”, że „co innego rola duszpasterska na gruncie kościelnym, która pozbawiona być musi wszelkich wpływów politycznych, a co innego działanie księdza jako obywatela na terenie pozakościelnym”.

Zgódźmy się na tę zasadę.

Zapytajmy:

Czy kazalnica stoi na gruncie kościelnym?

Czy konfesjonał stoi na gruncie kościelnym?

Każdy odpowie, że tak.

Przypominamy, że przed powstaniem t. zw. sanacji z kazalnicy padały słowa najsurowszego potępienia na ludzi tak lojalnych religijnie, jakimi są Piastowcy, działacze ludowi.

Przypominamy, że wtedy przy konfesjonałach rozgrzeszeń nie dostawali Piastowcy, a żony ich czasami chrzestnymi matkami zostawać nie mogły.

Przypominamy, że jeden z proboszczów, który do Śremu przywiózł bojówkę, — wszczął awanturę karczemną na wiecu Piastowym, przyczem został sam poturbowany.

Powyższe fakty miały miejsce z strony tak zwanych „narodowców” księży przeciwko Piastowcom.

Fakty te przykre i gorszące tak dalece, że, gdy rozżaleni gospodarze z powodu zrywania systematycznego afiszów Piastowych przy tej robocie przydybali pewnego wikarego, skończyło się na kijach.

Czy tego interes Kościoła wymagał? Oczywiście nie; to raczej odstręczało od księdza, a więc podkopywało powagę kościoła.

Ksiądz jako obywatel ma pełne prawo działać poza kościołem.

Ale zestawmy:

Stoją przeciwko sobie dwaj uczciwi księża jeden ks. prałat Prądzyński (stron. nar.) — drugi ks. Żongolłowicz, wiceminister (sanacja).

Obaj jako księża przed świeckimi słuchaczami nie mogą licytować się, który z nich jest lepszy katolik. To trudno. Więc obaj dobrzy, bo inaczej oczywiście... zgorszenie!

W tej chwili toczy się spór między endecją a sanacją o księży (jak ich „Kurjer Poznański” nazywa) „narodowców” i księży „prawomyślnych” (sanacyjnych).

Sam fakt sporu jest według naszego zdania zjawiskiem gorszącym, a już niema on nic wspólnego z interesem Kościoła, bo gdzie jest interes Kościoła, na to recepty nie da ani ksiądz (endeki) „narodowy” ani ksiądz (sanacyjny) „prawomyślny”, ale dać może jedynie i wyłącznie przestrzeganie interesów kościoła bez mieszania w tę sprawę polityki.

Kto wywleka sprawy religijne na wiecach politycznych, ten najczęściej najmniej wtedy ma na oku sprawy religijne, ale właśnie nadużywa ich dla celów partyjnych.

Ciekawi jesteśmy, czy księża posłowie i senatorowie endecy i sanacyjni rozmawiają ze sobą po przyjacielsku? Na przykład ks. poseł Czuj i ks. senator Bolt? I czy oni jako księża mogą dojść do porozumienia czy nie, a jeżeli nie, który z nich ma rację?

Bardzo byłaby ciekawa odpowiedź na to. Wtedy my świeccy moglibyśmy ocenić siebie, rozgrzeszyć czy oskarżyć się z powodu naszego „zacierzawienia” lub „partyjnicstwa”.

Niebezpieczną jest rzeczą, gdy partja polityczna chce monopolizować sobie katolicyzm, a już całkiem głupia, gdy akurat katolicy księża należą jedni do „katolickiej” a drudzy do „masońskiej” partji.

Bardzo to niebezpieczna rzecz.

Za dużo hec! Za wiele wiecowego krzyku „w obronie kościoła”!

Dobry ksiądz, pracowity, energiczny, nawet nieasceta, ksiądz nie targujący się o opłaty lub o 50 groszy czy funtów więcej na dzierżawie z morgi — to o wiele lepszy obrońca kościoła, aniżeli krzykliwy wyklinacz ludzi z innych obozów politycznych.

Jastrzębia Góra

pięknie położony nad pełnym morzem i plażą

Pensjonat „Fantazja”

poleca pokoje z obfitem i wybornym całodziennym utrzymaniem.

Pierwszorzędna kuchnia — Zarząd zeszłoroczny



Z GALERJI RACZYŃSKICH w POZNANIU

AUGUST V. KLOEBER

Bachus z panterami

Na brzegu lasu, siedzi na ziemi Bachus z 2 panterami po bokach, z których jedną obejmuje ramieniem, drugiej podaje czarę czerwonego wina. Za nim siedzą dwie nimfy, w dali rydwan, od którego pantery odprężono. Obraz ma u dołu na lewo, sygnaturę AK 1840.

J. MEISSNER.

OLA

NOVELA

Póki nie wyjeżdżaliśmy do Wilna, wszystko było dobrze: nie wyróżniała nikogo i przyjmowała nasze hołdy z jednako-
wo miłym uśmiechem doskonale wychowanej panny. Wied-
ziała, że kochamy się w niej nazabój wszyscy bez wyjątku,
i ta atmosfera uwielbienia zdawała się jej wystarczać.

Tam, w Bieliskach, nie było między nami scysci, nie było
wybuchów zazdrości, nie było rywalizacji. Uważaliśmy pan-
ne Olę za kogoś, czvia osoba należała się potrosze nam wszys-
kim. Uważaliśmy ją za należącą do naszego bataljonu. I tak
było najlepiej.

Papa Linecki patrzył na ten stosunek z wesołym uśmie-
chem i z całym zaufaniem powierzał nam opiekę nad córką.
Wiadomo było, że nie może jej się stać tutaj żadna krzywda:
z pietnastu oficerskich szabel bataljonu z pewnością czternaś-
cie zwróciło się przeciw śmiałkowi, który odważył się
na wyrządzenie jej przykrości, nie mówiąc o takim, który o-
braziłby ją czemkolwiek.

Żyliśmy, oddychając subtelny cieniem jej obecności,
karmiac oczu nieknością jej twarzy, poddając stwardniała w
wojnie dusze działaniu jej czarui. Za jej zbliżeniem miłkły
przekleństwa, łagodniały twarze, odnawiały się same daw-
no zapomniane „poprawne formy towarzyskie”. Była na-
szym dobrym duchem, była łącznikiem z kulturalnym świa-
tem, porzuconym od kilku lat dla życia w polu, zdnia na dzień
marszem, bitwą i postojem, między postojem bitwą i marszem.

Każdy z nas marzył w ołebi duszy o czemś więcej. O
czemś wyłącznie dla siebie. Każdy sięgał do jej ust i do jej
serca: ale tylko w marzeniach.

Czułismy, że walka o serce i o usta panny Lineckiej zgasi
miłą atmosferę cienia, zakłóci spokój duchowy wszyskich i...
nie da rezultatów: jutro możemy odejść dalej: jutro nowy roz-
kaz może nas rzucić na nieznany odcinek frontu: jutro mogą
zażądać, abyśmy przemierzali — jak dotąd — śniegi litew-
skich bezdroży, umierali w jakimś zmarzniętym na kamień o-
kopie, lub darli się przez zwały ciepłych jeszcze trupów mię-
dzy onłotki niedzicy, zaciekłe bronionej wioski; jutro...

Musi przysięść jutro!

— Odnoczać, jeszcze odnaczać w bliskości Oli, w pro-
mieniu działania jej uroku!

Tak było w Bieliskach. —

Panna Linecka wróciła z Francji przed dwoma laty.
Wróciła wprost z serca Europy, z Paryża. Więcej: wróciła

z serca Paryża, Quartier Latin, od malarskiej palety Ecole de
Beaux Arts.

Cisza wiejska przytłaczała ją smętkiem długich wieczo-
rów bez innych rozrywek prócz książek. Te same twarze,
te same rozmowy, ci sami ludzie i — powoli wsączająca się w
jednostajność życia — nuda. Czasem tylko przelotny kwate-
runek oddziału wojska, i znów codzienna szarzyzna.

Wreszcie — nasz bataljon — na dłużej.

Panna Lipecka chciała się bawić: jeździliśmy z nią do
Wilna.

Czy to ona szalała z nami po nocnych lokalach? Czy to
ona śpiewała wraz z całą salą kabaretów refreny piosenek o
bezdennie głupiej treści? Czy ona piła szampana „Pod Niedź-
wiedziem” i strzelała z naszych pistoletów do wypchanych
ptaków na sali? Ona przechodziła z rąk do rąk tańczących
oficerów na górze w Bristolu, aby każdemu z nas zatruć duszę
głębokim spojrzeniem swych oczu, tak pełnym obietnic, że
krew buchała do głowy? Ona ścisnęła nasze dłonie, wbijając
ostre paznokietki w skórę, lub drażniąc uśmiechem przezna-
czonym, zdawało się, dla wybrańca? Ona?

Czy to była ona, ta sama kobieta, która potrafiła raz da-
wać nam wszystkim złudzenie rodzinnego domu na przelo-
nym postoju, to znów szarpać nam nerwy, wprowadzać niepo-
kój, rozpalać zmysły, stawiając nas przeciw sobie jako rywali?

Chciała się bawić, chciała osiągnąć maximum nocnej hu-
lanki, chciała rozniecać namiętności, igrać z ogniem, który la-
da chwila spowodować mógł wybuch pożaru.

A potem wracała do mglistej ciszy rodzinnego domu,
by znów stać się jednakowo bliską i dobrą dla nas wszyskich,
jednakowo uwielbianą i kochaną bez złej myśli Olą.

Któregoś dnia nad ranem, kiedy już po raz trzeci zmieni-
liśmy lokal, wyniósłszy się po kolei z balu Lutni i od George’a
do Bristolu, Ola, podniecona więcej jeszcze, niż zwykle, wstała
nagle od stolika w łoży, przy którym piliśmy i, skinawszy na
mnie, wyszła do hallu, skąd prowadziły schody na górę do
sali dancinowej.

Tańczyć dobrze i wyróżnienie tego rodzaju spotkało mnie
nie po raz pierwszy, a jednak i wtedy, jak zawsze, ciepłe wzru-
szenie przepłynęło mi po nerwach wezbraną falą.

Ach, wiem, co to znaczy tańczyć z Olą! Ona oddaje się
poprostu w miękkich zwojach melodji tanga, łąsi się w roz-

lewnych, zaczarowanych dziwnym rytmem bostonach, szaleje namiętnością shimmy.

Tańczyliśmy! Tak tańczyliśmy.

Te melodje, wyczarowane gorącym, białym słońcem Afryki, czy Ameryki Południowej, mają to do siebie, że człowiek zapomina co i z kim tańczy: przestaje myśleć, nerwami tylko odczuwa rytm...

Pocziwe Litwiny, tańczące „polkę-kokietkę“ z przed stu lat, stanęły szerokim kręgiem dokoła nas. Tańczyliśmy...

Czy potrafię opisać czar spojrzenia jej oczu? Oczu gazeli, oczy sarny, które znają myśliwi — i oczu, pełnych tajemniczego wyzwania, kobiety, które znają poeci? Czy potrafię? — Nie!

To było coś, co działało na mnie, jak szampan, jak ogień, jak... ach, nie! Wszystko, co napiszę, będzie zbyt blade i szare. Nigdy nie potrafię słowami wyrazić tego, co się kryło w przepastnej głębi tych czarnych źrenic.

Dawały mi pewność, że to ja jestem kochany.

A zaraz w następnej chwili śmiały się ze mnie, że im uwierzyłem. A potem błagały o przebaczenie za żart, a potem obiecywały wszystko, a potem... Boże, co za oczy!

Zeszliśmy na dół. Musiałem mieć minę tryumfatora: kolidy, najmilsze na świecie łotry, spoglądali na mnie z zazdrością.

Po upływie pół godziny patrzyłem tak samo na jednego z nich, który z kolei stał się wybranym losu... Targała mi serce zażarta, dziobata, wściekła zazdrość.

I tak ciągle...

W Bieliskach wszystko wracało do normy; przerzuty od nadziei, czy pewności zwycięstwa, do rozpacz, czy melancholii i rezygnacji — były łagodniejsze, cichsze, powolniejsze powiedziałbym. Nie wiem, jak oni to znosili. Dla mnie sytuacja po miesiącu stała się ostrą, jak brzytwa, której próbuje się na paznokciu. Codzień wmawiałem w siebie, że Ola mnie kocha i codzień konałem z zazdrości, wiedząc, że to nie ja.

Aż wreszcie...

15 marca przyszedł rozkaz, na który czekało przecucie, ukryte głęboko w zakątkach naszych dusz: pierwszy bataljon zostaje przeniesiony do linii...

Koniec, koniec.

Zapada czarna kurtyna obowiązku. Urywa się nagle jasna, kolorowa nić życia, aby, zmieniawszy barwę, rozwijać się dalej szarą przędzą.

Koniec.

I — błysk nadziei: „bataljon pozostawij aż do odwołania jeden pluton w miejscu postoju, jako placówkę“.

Czasami, grając w pokera, mam pewność wygranej. Wygrywam.

Wtedy miałem pewność, że to ja zostanę w Bieliskach. Zostałem. Patrzono na mnie z zawiścią. Tak, patrzyli tak na mnie ci ludzie, z którymi sto razy zaglądałem w oczy śmierci. Czy to dziwne? — Nie: Ola zostawała ze mną, nieledwie sam na sam, na przeciąg dwóch, trzech tygodni; może na miesiąc.

Czternaście z piętnastu oficerskich szabel bataljonu było przeciw mnie: na dzień przed wymarszem byliśmy „Pod Niedźwiedziem“ i ja byłem tym, którego ona wyraźnie wyróżniała.

Nazajutrz bataljon wyruszał, żegnany przez pana Lipeckiego i pannę Olę ze łzami patriotycznego wzruszenia. Śmiałem się, tańczyłem z radości w swoim zamkniętym pokoju: pozwolono mi jeszcze żyć, odpoczywać, kochać i może być kochanym. Cóż znaczą łzy pożegnania dla bohaterów szarej piechoty, odchodzącej na front? —

Mijają dni... mijają dni.

Jesteśmy tylko we dwoje. Ciągna się nieskończenie długo słotne poranki, otulone w szarą, mroźną mgłę, pełnią powoli południa deszczowych pluch i dzwoni o szyby deszcz wieczorny smętkiem szarych godzin ciszy.

Patrole, ćwiczenia, raporty... Raporty, ćwiczenia, patrole...

Rozkisa glina krętych dróg leśnych i polnych, płynne sylwetki drzew i chat, niekończące się pola.

Jednostainość nawrotów od nadziei do rezygnacji.

Panna Ola nie chce już jeździć do Wilna. Jest, jak ten marzec: raz uśmiechnięta słońcem, dobra, i jasna, i ciepła, i dająca wiosnę, to znów kapryśna, chmurna, zimna i jakaś niewytłomaczenie obojętna.

Kocham ją, kocham.

Boję się sam siebie: nie mogę o tem myśleć. Mąci mi się w głowie. Szaleję ze szczęścia i nurzam się na samem dnie smutku. Blaski i cienie przesuwają się po mojej duszy, jak słońce i chmury w oknie mego pokoju.

Kiedyż jej „to“ powiem? Czekam na moment, który jest tak nieuchwytny, jak tęcza, a tak płochliwy, jak motyl. Sto razy otwieram usta i sto razy cień jakiś zamyka je drżeniem swych skrzydeł.

Czy jestem nieśmiały? — Eh, głupstwo: boję się stracić szczęście; iluzję szczęścia.

Czy ona odczuwa „co się ze mną dzieje? — Ba, widzi to dobrze!

Słucha mnie z przyjemnością, kiedy mówię jej dziwne słowa o kwiatach, słońcu i cieple.

Skąd wzięły się te słowa u mnie? Nie byłem nigdy sentymentalny i poeci, nawet ci najnowsi, jak Wierzyński i Odyńiec, nudzili mnie. A teraz mówę sam o zwarjowanym wiosennym wietrze, o wróblach na dachu, o wiosnie i o winie. Boże, jakież mówię głupstwa!

Ale przemawiają one właśnie tym językiem, którego dotąd nie znałem.

Ola słucha. Czasami w jej bezdennych źrenicach błyska coś, co zdaje mi się być iskrą uczucia lub... ironji. Potem zamyka mi dłonią usta i siada do starego fortepianu, a może — klawikordu (strach, jak mało wiem o muzycznych instrumentach).

Gra.

To nie o stuny uderzają pokryte zamszem młoteczki: to jej paluszki dotykają moich nerwów. Wywleka mi duszę na wierzch w srebrnych scherzach Szopena i w jakichś zwarjowanych, namiętnych melodjach Griega i w dawnych, dawnych walcach.

Jak ona gra!

Później melodje zbiegają się w coś niewysłowionego, co podnieca moje zmysły, każe mi wstać z fotelu i ucałować ją aż do utraty tchu.

Wstaję i wychodzę: brak mi odwagi. Jestem tchórz, tchórz!

Nazajutrz wita mnie zimny jej uśmiech i spojrzenie, pełne ironji i współczucia.

Czego ja się właściwie boję?

Pan Lipecki jest dla mnie miły i uprzejmy. Tak uprzejmy, że stara się nie widzieć przy wspólnych posiłkach mego roztargnienia, z jakim odpowiadam na jego pytania, i mego zapatrzenia w oczy jej córki. Może naprawdę tego nie widzi?

Rozmawiamy o polowaniu, o zasiewach i o wojnie. (Nie znam nudniejszych tematów). Panna Lipecka uśmiecha się drżeniem prześlicznych rąk, wygiętych w górę, czarnych, jak smoła. Ileż powabu ma ten uśmiech!

Popielaty zmierzch, i Grieg. Znowu Grieg.

Struny fortepianu wołają, tęsknią namiętnym spletem dźwięków. Kto zdoła się im oprzeć?

Mam tego dość!

...Za oknami wyje wiatr i goni po szarem niebie chmury. Czarne miotły bezlistnych gałęzi drzew kłaniają mu się pokornie, szarpane za włosy.

Mam tego dość!

...Mroź zelżał znowu i w rozmięklej ziemi, zesmaganej wichrem i deszczem, znaczą się wyraźnie głęboko zakłęsłe koleiny wozów. Na chwilę wymyka się z pomiędzy b'bulastych chmur promyk słońca, zbiedzony i żebrzący o zmiłowanie wiosny. Niema dla niej litości.

„Melodje Griega bynajmniej nie pasują do rozchłapanego zimnego południa. Brrrr...

Pan Lipecki pojechał do Wilna, wróci dopiero jutro... Pan Lipecki pojechał...

A jednak Grieg jest silniejszy, niż wiatr i deszcz, niż żebrzący o zmiłowanie promień słońca i smutek marcowego południa. Rozbudza wartki potok krwi, zapala pochodnię zmysłów, napina nerwy.

Czy to Grieg?

Mam tego dość! Stanowczo mam tego dość!

Wstaję. Podchodzę do fortepianu. Ola nie widzi mnie; nie przestaje grać. Tylko palce jej biegną po klawiszach coraz wolniej, leniwiej. Staję za nią. Ach, serce wali, jak dzwon. Nagle chwytam ją za ramiona i przechylam w tył jej głowę. Jestem brutalny: chcę jej ust. Oto, czego chcę!

Całuję ją mocno, trzymając cudną głowę i ręce w uwięzi

mych mocnych ramion. Nie mogłaby się wyrwać, o nie!

Całuję długo jej usta. Mają smak młodych, wiosennych pączków drzew. Pulsują żywą krwią; czuję to rozpalonemi wargami. Oddają mi się te czerwone usta bez oporu; mogę je gryźć, miażdżyć, mogę je całować jak chcę.

Wyszedłem, trzasnąwszy drzwiami. Niech mi stary Lipecki przyśle sekundantów. Niech się dzieje co chce.

Poszedłem do swego pokoju w oficynie. Mój ordynans, olbrzymie rude zwierzę, napół oswojone, o uśmiechu goryla i łapach zbira, otworzył mi drzwi. Rzuciłem się na łóżko. W głowie miałem pustkę, w ustach słony smak krwi.

— Grigorij!

— Ja, panie poruczniku!

— Wódki... nie, wina; czerwonego wina. Prędko.

Chciało mi się pić; w gardle mi zaschło.

Grigorij wyszedł. Splunąłem za nim z obrzydzeniem: był brudny i śmierdzący potem.

Wlokły się długie minuty. Na dworze pochłapywał deszcz. Nudny, jednostajny wieczór przeciągał nad ziemią skostniałe ramiona zmierzchu. Zapłakane szyby seplenily skarzający się pacierz słoty. Wiatr pogwizdywał głupio w kominach i prosił o przytułek. Było mi podle.

Ktoś zastukał.

— Wlazł! — ryknąłem, nie odrywając się od ściany.

Ciche, szeleszczące kroki.

— To ja.

Popłynęło przez powietrze jedwabiem i narcyzami — to ja... —

— Ola!

Piliśmy wino.

Piliśmy rozkosz tęskniących wiecznie ust. Patrzyliśmy sobie w oczy. Drżałem ze szczęścia i wiedziałem, że ona drży także.

— Ola!

Czy to sen złoty i różowy, czy też jej włosy i usta?

Czy to delikatny puszek dojrzałych brzoskwiń i zapach świeżo rozkwitłych narcyzów, czy też jej twarz przy mojej i jej oddech, który wchłaniam, całując rozkochane oczy?

— Ola, Ola — to ty?

Tak, to ona: przyszła, bo nareszcie spodobałem się jej: byłem silny, brutalny, „dziki człowiek“... Śmiejemy się.

— Wina, jeszcze wina.

Grigorij, głupi jak pień, Grigorij, przynosi nowe butelki i idzie do pokoju obok, w którym sypia. Nic nie rozumie i uśmiecha się idiotycznie.

Ratunku, jak ona całuje! Zdaje się, że wypije w tym pocałunku duszę, że wessie w siebie moje życie.

To powolne pochylenie głowy, oczy, wpatrzone w moje źrenice, to pociągnięcie ust po ustach... można oszaleć! Ta coraz dziksza, namiętna pieśń warg.

— Ola, Ola!

A jednak nie posunąłem się dalej: całowałem ją tylko. A właściwie ona mnie całowała.

W pewnej chwili odepchnęła mnie delikatnie; nasłuchuje.

— To nic: to Grigorij chrapie obok w pokoju.

Chcę zamknąć drzwi na klucz.

— Nie, nie, Zbych. Nie trzeba.

I nagle wstaje, zarzuca mi ręce na szyję:

— Poproszę o coś. Nie odmówisz mi, prawda?

Mogła mnie prosić wtedy o wszystko: dałbym jej, coby tylko chciała, zrobiłbym, czego by tylko zażądała.

To nie było tak wiele: — kokainy.

— Kokainy?! — cofnąłem się, jak ukłuty bagnetem.

— Tak, kokainy. Nigdy tego nie używałam. Chcę, mam taki nastrój... Proszę; ja bardzo proszę...

— Ale skąd teraz? I poco?! Czy ci tak źle, jak teraz? Czy...

— Ja tak bardzo proszę, Zbyszku... W Wańkowiczach jest lekarz...

Naturalnie, w Wańkowiczach, pięć kilometrów stąd, jest lekarz, porucznik Górzyński, stary przyjaciel... Wino i krew szumią w głowie. Wino i krew.

— Ja tu poczekam u ciebie: papcio pojechał do Wilna...

Ten uśmiech! Ach, ten uśmiech...

— Jadę!

Pecyny pozlepianego błota lecą z pod kopyt końskich. Wiatr świszcz mi w uszach, deszcz siecze odkrytą głowę i twarz. Przeczuję raczej, niż widzę drogę w gęstych ciem-

nościach nocy. Pędzimy w mroku: mój koń i ja i wicher... ażeby spełnić kaprys kobiety.

Bo czyż to nie kaprys? — Ola nie jest kokainistką; wiem to z pewnością; nigdy w Wilnie, w czasie najszańszych hulanków, nie zażądała od nikogo z nas tego narkotyku.

Więc może poprostu wysłała mnie na godzinną przejażdżkę, aby uspokoić moje, a także i swoje zmysły? Może bała się sama siebie?

Ależ tak, ależ tak! Myślę o niej niemal z braterską czułością: naprośno obawiasz się, Olu. Kocham cię głębiej, niż sądzisz, i nie zrobiłbym ci krzywdy. Małenka moja, śliczna pani, zaraz jutro poproszę pana Lipeckiego o twoją rękę. Kocham cię, kocham...

Ogarnia mnie ciepłe, dobre wzruszenie.

— A teraz zadowolę twój kaprys; przywiozę kokainę i wyrzucimy ją razem za okno, dobrze? I powiem ci, że możesz mi ufać. Będziesz się śmiała ze swoich obaw, jedyna...

Skręcam na szosę. Mija mnie jakaś rozstrzęsiona bryka wojskowa z żołnierzem na koźle.

— Kto jedzie?

— Porucznik Górzyński. A tam kto?

— Kuźnic. A to spotkanie! Jadę właśnie do ciebie.

Zatrzymujemy się na szosie. Zsiadam z konia, zostawiając cugle w rękach powożącego bryczką szeregowca. Górzyński jedzie do chorego: nagły wypadek; jakies zatrucie, czy coś w tym rodzaju. Niema ani chwili czasu... Ale co się ze mną stało: bez czapki i bez płaszcza? Sam jeden w taki psi czas, i po jakiego licha?

Wymyśliłem naprędce jakąś niemożliwą historję, w którą nie uwierzył ani przez sekundę. O kokainie nawet słuchać nie chce. Oświadcza mi, że jestem smarkacz, i radzi wracać do kwatery. — Nie, stanowczo nie da mi kokainy; nie posiada jej wcale, a nawet, gdyby miał, nie będzie dla mojej fantazji wracał cztery wiorsty po błocie do Wańkowicz. Przytem jedzie przeciw do chorego. Wreszcie — wysyła mnie tym razem już nie na kwaterę a do wszystkich djabłów: do widzenia!

— Do widzenia.

Nie zależy mi już tak bardzo na kokainie od chwili, w której uprzytomniłem sobie właściwe znaczenie tego kaprysu Oli. Wracam. Za kilka minut znów będę z nią razem. Usta jej nie ostygły jeszcze zapewne od pocałunków...

Wjeżdżam stępą między zabudowania podwórza. Ciemno wszędzie, tylko z moich okien, zasłoniętych pomarańczową storą, sączy się przyćmione światło lampy.

Wymieniam hasło z posterunkiem, który zatrzymuje mnie u bramy i oddaje konia inspekcyjnemu plutonu.

Cicho. Tylko deszcz szumi jednostajnym, sypkim pluskiem kropel.

Otwieram drzwi bez szmeru. Ciemna sień. Potykam się o próg i popycham niedomknięte drzwi od mego pokoju na prawo.

Co to jest?!

Czy oszalałem?... Boże, co to jest?!

— Ola!!!

Odwraca ku mnie głowę. Twarz jej płonie. Oczy płoną gniewem.

— Poco pan już wrócił?! — tupie nogą.

To rude, wstrętne bydlę, Grigorij, trzyma ją w swych cuchnących potem łapach.

— Przecież wysłałam pana — — poco pan wrócił!!

Ręka sama chwytą rewolwer. Mierzę między ogłupiałą trwogą ślepią ordynansa. Naciskam spust. Suchy trzask i cisza... Naboju nie było w lufie.

Repetuję wściekłym ruchem dłoni.

Już go niema. Tylko trzaskają drzwi i dźwięczy wybita szyba... Ola poprawia włosy przed moim lustrem. Jedno zimne ironiczne spojrzenie:

— Głupiec!

Czas

odnowić

przedpłatę

na sierpień

Królowie na wygnaniu

Rewolucja w Hiszpanji i abdykacja króla Alfonsa XIII wzbudziła znowu w opinii europejskiej zainteresowanie życiem prywatnym „emerytowanych” monarchów.

Alfons XIII — feralna 13-stka odegrała w jego życiu swoją rolę, gdyż 13. podpisał akt rezygnacji z tronu — zawsze modnie ubrany monarcha może obecnie pofolgować swym demokratycznym upodobaniem.

„Jestem obecnie zwykłym, prywatnym, człowiekiem — mówi były władca Hiszpanji w jednym z wywiadów — który ma prawo żyć i zażywać wolności, jak każdy inny obywatel Francji”.

Alfons XIII poza kierowaniem naszą państwową miał jeszcze wiele innych zainteresowań i dlatego obecnie z pewnością nie skarży się na nudę. Był on zawsze mile widzianym gościem w Londynie i Paryżu i ma wielu przyjaciół w kołach sportowych i arystokratycznych.

Zdetronizowany władca ma dużo czasu wolnego. Może polować, ryby łowić, grać w polo, zająć się uprawą roli i hodowlą bydła, czem się zawsze żywo interesował.

Mieszka on w Fontainbleau wraz ze swą żoną b. królową Wiktorją, z córkami ks. Beatryczą i Krystyną, oraz licznym dworem. Zajmuje 22 pokoji w Hotelu Savoy.

Obie księżniczki uczą się z zapalem stenografji i pisania na maszynie. Obie pełnią obowiązki sekretarek swych rodziców.

„Życie współczesnych księżniczek — pisze w jednym z tygodników francuskich ks. Beatrycza — nie jest tak wspaniałem i błyskotliwym, jak je opisują bajkopisarze. Nasze zajęcie zajmuje nam więcej czasu niż czynności reportera, gdyż nie mamy wprost chwili wytchnienia. Obowiązkiem naszym jest odpowiadać na listy i telegramy które otrzymują ojciec i matka, a można sobie wyobrazić, że korespondencja jest bardzo obszerna”.

Obie siostry z dumą mówią o swym trzecim bracie, który jest frekwentantem Akademji Marynarki. W nim też pokładają nadzieje członkowie dynastji i monarchiści, w razie gdyby kiedykolwiek doszło do restauracji tronu w Hiszpanji. Dwaj starsi bracia są ułomni.

Król Alfons XIII i jego rodzina nie potrzebują się bać o chleb codzienny, nawet gdyby jego majątki w Hiszpanji uległy konfiskacie. (Wartość majątku b. króla w Hiszpanji wynosi ca 100 milj. dolarów).

Alfons XIII był na tyle przeczornym, że znaczną część swego majątku ulokował w dobrych papierach amerykańskich i pierwszorzędnym obligacjach innych państw. Majątek jego ulokowany w bankach europejskich tylko obliczają na 3—4 milj. dolarów, niezależnie od wartości klejnotów, które b. królowa Wiktorja zdołała wywieść.

Klejnoty te reprezentują wartość 1 mil. dolarów.

Jeden z jego osobistych przyjaciół oświadczył: „Alfons ma worki pełne pieniędzy i może beztrudno patrzeć w przyszłość”.

Z innych władców na wygnaniu b. król portugalski Emanuel żyje jak wielu arystokratów angielskich i jest dość częstym gościem angielskiej pary królewskiej.

Były król grecki lubi wesołe życie Londynu i Paryża, pozatem nie brak go na żadnym przyjęciu towarzyskim.

W Koburgu mieszka sędziwy król Ferdynand, który zrezygnował wprawdzie z korony bułgarskiej, ale nie potrzebował wyrzec się majątku wartości około 50 milj. dolarów.

W Doorn mieszka były król pruski i cesarz niemiecki Wilhelm pieczętując się myślą, że jest jednym z najbogatszych ludzi w Europie.

Ks. Guize, który wprawdzie nigdy nie był królem, ale rości preteasje do

tronu francuskiego, żeniąc swego syna hrabiego Paryża z księżniczką Izabellą Orleans Braganza córką pretendenta do tronu brazylijskiego, wydał podobno na te zaślubiny około 1 milj. dolarów.

Egzotyczny monarcha, były król Afganistanu Amanullah czuje się świetnie w Europie, uciulawszy za świetnych czasów spory grosz na czarną godzinę wygnania.

Były następca tronu bawarskiego Ruprecht i cała rzesza drobnych książątek niemieckich również nie mogą się uskarżać na niedostatek.

Apanaże rodzin królewskich pozwalają im na „uciulanie” sporych majątków. Wolni od trosk i obawy przed rewolucją spokojnie żyją poza granicami swych krajów.

Stosunkowo najmniej zaopatrzonym finansowo jest dom Habsburgów. Była cesarzowa Zyta prowadzi więc bardzo skromne życie, przebłyскуje jej jednak nadzieja, że na skroniach swego syna Ottona ujrzy koronę św. Stefana.

Z WYDAWNICTW

„Wolność Polski na morzu”

Nakładem Wojskowego Instytutu Naukowo Wydawniczego wyszło dzieło p. Henryka Bagińskiego pt. „Wolność Polski na morzu”.

Książka składa się z dwóch części: I-sza pt. „Niemcy a zagadnienie dostępu Polski do morza” i II-ga „Znaczenie portów polskich na Bałtyku”.

Na wstępie autor podkreśla, że dodatni wynik pracy Polski nad morzem należy przede wszystkim zawdzięczać celowej polityce morskiej rządu Marszałka Piłsudskiego, zmierzającej do samodzielnego oparcia się o własny brzeg morski oraz o własną marynarkę handlową i wojenną.

Czego nie dokonała Polska przedrozbiorowa w przeciągu kilku wieków, tego dokonał rząd Marszałka Piłsudskiego w nader krótkim czasie bo zaledwie w ostatnim pięcioleciu. Tej twórczej pracy Polski na morzu towarzyszą ataki niemieckiej wściekłości.

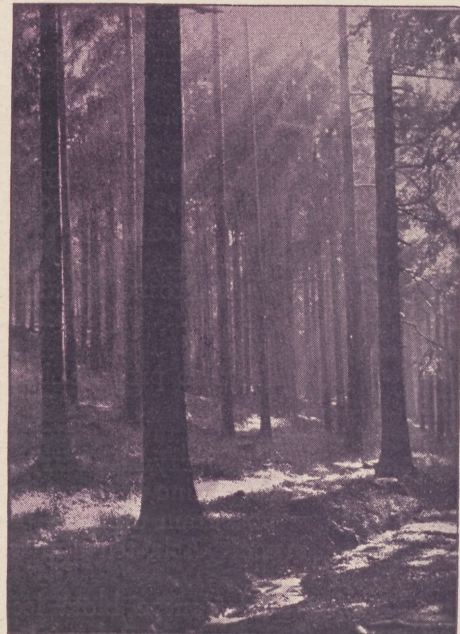
Niemcy, które początkowo łudziły się, że młode państwo polskie nie da sobie rady z trudnościami i nazywało je „państwem sezonowym”, przekonały się wkrótce o swej pomylce i wszczęły politykę rewizjonistyczną.

Autor obszernie omawia tę „Revisions politik”, która nabrała szczególnego rozgłosu po ewakuacji Nadrenji i po zwolnieniu Niemiec z zobowiązań terytorjalnych na zachodzie w czerwcu 1930 r. przez otwarte wypowiedzenie się za rozpoczęciem sprawy rewizji gra-

nic przez członka rządu Rzeszy ministra Treviranusa.

Agitacja niemiecka za rewizją granic i odcięciem Polski od morza, ma głównie na celu odebranie Polsce możliwości dostępu do obcych mórz i skazanie całego świata gospodarczego, a co zatem idzie i politycznego na wyłączne pośrednictwo niemieckie.

Książka p. Henryka Bagińskiego omawiająca obszernie zagadnienie granic Polski od zachodu i północy, morską politykę Polski i obronę Pomorza powinna nie tylko być znaną i rozpowszechnioną w kraju, lecz także w odpowiednich przekładach zagranicą.



Las puszczykowski w promieniach słońca

PROSTO Z MOSTU

„PŁASKIE“ RYBKI

Zastanawiałem się dlaczego etykiety na pudełkach papierosów „Płaskich“ przedstawiają jakieś dwie rybki z rodzi-ny fląder, czy płastug.



Reprodukcja afisza angielskiego

Tłumaczono mi, że ryby te są płaskie i papierosy też. Złośliwi natomiast dedukowali, iż artysta komponujący tę oryginalną reklamę miał na myśli podobieństwo trawy morskiej do naszego tytoniu i stąd wybrał rybki morskie, jako motyw dekoracyjny.

W tym względzie spotkałem się zresztą z różnymi zdaniem. Jedni twierdzili, że etykietę projektował zwykły kucharz, drudzy, że bezrobotny ichtjolog, inni, że „dzieło“ wyróżniono na specjalnym konkursie, a twórcę suto wynagrodzono.

„Problem“ ten nie dawał mi spokoju — postanowiłem nie spocząć dopóki nie rozwiążę zagadki, dlaczego do dekoracji

pudełka użyto fląder, a nie czego innego.

Próbowałem zasięgnąć informacji w Dyrekcji Monopoli Tytoniowego, wydałem sporo pieniędzy na poszukiwania „autora“ tych rybek przy pomocy



Etykieta „Płaskich“

ogłoszeń w prasie, pisałem do Norblina, Gronowskiego i innych głośnych malarzy reklam, lecz znikąd nie otrzy-

małem odpowiedzi...

Aż tu pewnego dnia, omal że nie oszalałem z radości. — Przeglądając jakiś stary katalog angielski, natrafiłem na identyczne rybki. Ilustracja przedstawia afisz reklamowy pewnej restauracji londyńskiej, zalecający jarską kuchnię i zawsze świeże ryby.

...Ach! znalazłem cię wreszcie dostawco genialnych projektów reklamowych, dla Polskiego Monopoli Tytoniowego.

Teraz sam musisz przyznać, że te rybki nie mają sensu, że „ściągnąłeś“ pomysł z angielskiego afisza i bez najmniejszego trudu ze swej strony udekorowałeś nam pudełka „Płaskich“.

Mała rzecz, a wstyd. Namalowałeś wszystko to samo — rybki i fale morskie, trójkąty na rogach plakatu i krój liter — zamiast kwadratu zrobiłeś kółko — forszę za plagiat zgarnąłeś do kieszeni i wszystko w porządku.

No, już wiem teraz dlaczego rybki. Dobrzeby było, gdyby wreszcie Dyrekcja Monopoli Tytoniowego z większym krytycyzmem rozpatrywała na konkursach graficznych nadsyłane jej prace.

Drab.

HURAGAN NAD LUBLINEM

Huragan, który dnia 21 bm. przeszedł nad Lublinem wyrządził nieobliczalne szkody materialne. Ofiary w ludziach wynoszą trzy osoby zabite, 11 osób ciężko i 12 lżej rannych.

Orkan połączony z ulewą i piorunami pozrywał dachy z domów, na stacji kolejowej zwałił z szyn 8 wagonów towarowych i 2 wagony załadowane końmi, które odniosły rany. Wiatr przewrócił kilka komarów fabrycznych, autobus miejski, oraz zburzył szereg starszych budynków.

Najbardziej ucierpiał drzewostan miasta. Park Bronowicki został doszczętnie ogolony, na szosach wiatr unosił drzewa powyrywane z korzeniami. Ulice miasta przedstawiały również wstrząsający widok, wszędzie leżały po-

łamane drzewa, słupy telegraficzne, pozrywane blachy z domów, masy rumowiska i cegły.

Huragan uszkodził przewody elektryczne, wobec czego część miasta pozbawiona była światła. Z dużą pomocą przyszło wojsko, zabezpieczając dworzec kolejowy i rzeźnię miejską.

Straty w samym Lublinie są bardzo znaczne. Gorzej przedstawia się sprawa w okolicach miasta. Majątek Tataców został zniszczony doszczętnie. We wsi Zemborzyce uległo zniszczeniu 22 gospodarstw. W Jakubówku, Rozkowie i Hajdukach huragan poczynił kolosalne spustoszenia.

W związku z katastrofą władze centralne przystąpiły do energicznej akcji ratowniczej.

Największą pewność daje Waszym wkładom

Komunalna Kasa Oszczędności miasta Bydgoszczy

Za wszelkie zobowiązania Kasy odpowiada miasto
całym swym majątkiem i siłą podatkową.

U nas i na szerokim świecie

POS. DUBOIS SKAZANY

W wyniku rozprawy jaka odbyła się w ub. tygodniu przed Sądem Okręgowym w Warszawie przeciwko pos. Dubois o zniesławienie szefa lotnictwa wojsk. płk. Rayskiego zapadł wyrok skazujący p. Dubois na 1 miesiąc więzienia.

Jak wynika z przewodu sądowego pos. D. na łamach „Robotnika” zarzucił płk. R. przyjęcie od firmy Lorraine-Dietrich prezentu w postaci samochodu osobowego. Tymczasem stwierdzono, że firma ta oficjalnie przeznaczyła dwa samochody, oraz pewną kwotę pieniężną, jako nagrody dla zwycięzców rajdów lotniczych, oddając nagrody do dyspozycji Marszałka Piłsudskiego z prośbą o nagrodzenie zwycięzców.

Ministerstwo Spraw Wojskowych przyznało jeden z samochodów płk. Rayskiemu, drugi kpt. pil. Orlińskiemu, nagroda pieniężna zaś (10.000 fr.) przypadła w udziale mechanikowi biorącemu udział w rajdzie Warszawa-Tokio.

Po wyjaśnieniu sprawy przez b. wiceministra spr. wojsk. Konarzewskiego Sąd orzekł, iż red. Dubois wyrządził wielką krzywdę płk. Rayskiemu, imputując mu przyjmowanie podarków i po wysłuchaniu wywodów obrony oskarżonego, wydał wyrok skazujący p. Dubois na 1 miesiąc więzienia.

REKORDOWY ODPIŁYW ZŁOTA Z ANGLJI

Ogółem od 13 lipca z Banku Angielskiego zabrano 17.352.313 funtów złota, a więc że zapas złota Banku Angielskiego skurczył się do 147 milionów funtów. Na giełdzie londyńskiej panuje przygnębienie.

PRZYMUSOWA SPRZEDAŻ DEWIZ W NIEMCZECH

Rząd Rzeszy ogłosił rozporządzenie wykonawcze do dekretu o zwalczaniu ucieczki kapitałów niemieckich.

Posiadacze dewiz od 20.000 mk. wzwyż obowiązani są zaofiarować je do kupna Bankowi Rzeszy najpóźniej do dn. 29 bm. Bank Rzeszy zdecyduje możliwie prędko o dokonaniu, względnie odrzuceniu kupna.

Posiadacze dewiz poniżej 20.000 mk. będą jeszcze w przyszłości powołani. Osoby te zwolnione będą od zobowiązań w myśl dekretu o zwalczaniu ucieczki kapitałów zagranicznych, o ile sprzedadzą posiadane dewizy Bankowi Rzeszy.

INFLACJA BILONOWA W NIEMCZECH

Niemiecka ustawa monetarna z dn. 30 sierpnia 1924 r. została zmieniona. Emisja bilonu podwyższona została z 20 na 30 mk. na głowę, temsamem obieg bilonu podwyższono z 1,3 na 1,9 miljar- da mk. Umożliwia to powiększenie obiegu pieniędzy, bez naruszenia formalnego istniejącego pokrycia banknotów

o 600 milionów mk. Suma ta użyta zostanie w pokrycie połowy poborów urzędniczych i zasiłków dla bezrobotnych.

ZBOŻE ROSYJSKIE

Według informacji z zagranicy dotychczas niema jeszcze danych o tegorocznych przypuszczalnych zbiorach zbóż w Sowietach, wiadomo jednak, że rząd sowiecki już przed paru dniami ofiarował tegoroczne zboże poszczególnym krajom europejskim. „The Corn Trade News” w Liverpoolu informuje, że Włochy zakupiły 2 miliony kwintali zboża sowieckiego. Również Anglja ma zakupić pierwsze znaczniejsze ilości. Oczywiście kraje zamorskie, posiadające wielkie zapasy starego zboża, niepokoją się mocno tą konkurencją.

POGROM CHIŃSKIEJ ARMJI CZERWONEJ

Potwierdzają w całej rozciągłości wiadomość o zupełnem rozgromieniu chińskiej armji czerwonej w południowej części prowincji Ksiangsi. Podczas 12-godzinnej bitwy po obu stronach padło około 4.000 zabitych i drugie tyle rannych. Na widok klęski swej armji dowódca komunistyczny Sicilin, popełnił samobójstwo. Klęska najsilniejszej armji

czerwonej w Chinach wywołała w kołach moskiewskich wielkie poruszenie.

GŁODÓWKA 25 JAPOŃCZYKÓW

W poniedziałek rano przy grobowcu cesarza Meiji rozpoczęli 72-godzinną głodówkę i modlitwę byli kombatan- ci, inwalidzi japońscy, w liczbie 25, na znak protestu przeciwko nowym rozporządze- niom, odbierającym im prawo do renty. Padający bezustannie deszcz nie zmniejszył ich wiary, że publiczne wezwanie do ducha cesarza ulży ich nędzy.

Sześciu z nich zemdało z wycieńczenia, reszta zaś w dalszym ciągu czuwa.

NOWY LOT LINDBERGH'A

Lindberg wyrusza w przyszłym tygodniu wraz z żoną w podróż samolotem na Daleki Wschód przez Kanadę, Alaskę, Syberję, Japonję i Chiny. Przygotowano 11 punktów zaopatrzenia. Lotnik podjął wszelkie zarządzenia ostrożności. M. in. samolot zaopatrzony będzie w aparat radiotelegraficzny i w łódź gumową.

SIŁA ZBROJNA FRANCJI

Z noty Francji do Ligi Narodów w sprawie zbrojeń wynika, iż siły zbrojne Francji liczą 578.000 żołnierzy, flotę o pojemności 628.000 ton i 17.600 samolotów.

Z GALERJI RACZYŃSKICH W POZNANIU



Szkoła włoska

Marja Magdalena